

ŚWIATOWE ŻYCIE®
EXTRA



Kim Lawrence
Gdy wracają
wspomnienia

Kim Lawrence

Gdy wracają wspomnienia

Tłumaczenie: Filip Bobociński

HarperCollins Polska sp. z o.o.
Warszawa 2021

Tytuł oryginału: *Claiming His Unknown Son*

Pierwsze wydanie: Harlequin Mills & Boon Limited, 2020

Redaktor serii: Marzena Cieśla

Opracowanie redakcyjne: Marzena Cieśla

© 2020 by Kim Lawrence

© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2021

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji Harlequin Books S.A.

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiejkolwiek formie.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych i umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Harlequin i Harlequin Światowe Życie są zastrzeżonymi znakami należącymi do Harlequin Enterprises Limited i zostały użyte na jego licencji.

HarperCollins Polska jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A.

Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.

02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 34A

www.harpercollins.pl

ISBN 978-83-276-7419-7

Konwersja do formatu EPUB, MOBI: Katarzyna Rek / [Woblink](#)

ROZDZIAŁ PIERWSZY

– Nie!

Zastępca kierownika hotelu Madrigal był wytrawnym profesjonalistą, nawykłym do dziwactw ludzi sławnych i bogatych. Jego wyćwiczony uśmiech nie drgnął mimo wybuchu złości stojącej przed nim kobiety. Jednak zaskoczyła go, a nieczęsto mu się to przydarzało.

Szczycił się tym, że po pierwszym spojrzeniu potrafił rozpoznać, którzy VIP-owie będą sprawiać problemy, ale tej pięknej kobiety nie zaliczył do ich grona.

Niewątpliwie nie dała tego po sobie poznać przy pierwszym spotkaniu. Przybyła do hotelu bez akompaniamentu fleszy, jak przystało komuś, kto zamiast autopromocji skupia się na nagłaśnianiu akcji charytatywnych. Powszechnie wiadomym było, z jaką determinacją poświęcała swój czas i energię na wsparcie organizacji dobroczynnych będących dziedzictwem jej zmarłego męża.

Nieliczne niepochlebne teksty przypisywano frustracji pismaków, spowodowanej brakiem materiałów. Można ich było zrozumieć – przywykli do zaproszeń do domów sław, a Marisa Rayner nigdy nie dała im takiej możliwości.

Czekał na dalsze wybuchy, te jednak nie nastąpiły. Zamiast tego całkowicie zamarła. Stała bez ruchu, biała jak lodowa rzeźba. Co, jeśli była chora?

Na tę myśl poczuł nagły przypływ paniki. To by tłumaczyło jej nieziemskie, niemal pozbawione ostrości spojrzenie bursztynowych oczu, wcześniej, gdy usuwała cień do powiek, gdy przechodził obok przez słynne hotelowe drzwi w stylu art déco. Wtedy jej bladość przypisał migotliwemu światłu żyrandoli.

Chory gość nie zwiastował niczego dobrego. Niemniej nikt poważnie chory nie witałby każdego pracownika hoteli ciepłym i szczerym uśmiechem. Teraz jednak ten przyjazny, czarujący uśmiech był całkiem nieobecny, gdy stała przed nim w progu drzwi prowadzących do jednego z najprzedniejszych hotelowych pokoi. Wyglądała, jakby zobaczyła ducha.

Trudno. Czekał. Madrigal swą reputację zawdzięczał zaspokajaniu potrzeb nawet najbardziej kłopotliwych gości, szczególnie, jeśli stać ich było na opłacenie najbardziej luksusowych apartamentów. Marisa Rayner z pewnością należała do tej kategorii.

Jako jedyna dziedziczka fortuny męża stała się obiektem zawiści. Małżeństwo starszego bogacza z dużo młodszą kobietą przyciągało uwagę prasy brukowej. Intensywne poszukiwania brudów nie przyniosły jednak żadnych rezultatów. Żadnych kochanków, zarówno przed, jak i po małżeństwie. Po śmierci męża pozostała zaangażowaną filantropką.

Jeśli już o niej pisano, to jako o kobiecie z klasą.

Choć raz przyznał rację gazetom. Jeśli miała jakieś trupy w szafie, to były bardzo głęboko schowane.

– Czy jest jakiś inny pokój? – Marisa usłyszała swój rozedrgany, niemal histeryczny głos i zagryzła pełną wargę. Kupowała sobie trochę czasu, by ochłonać, wygładzając dłonią nieistniejące, luźne kosmki srebrzystych blond włosów związanych w kok spoczywający na tyle jej łabędziej szyi.

– Inny pokój? Ten jest jednym z...

– Tak, przepraszam, jest olśniewający – wyrzuciła. – Ale... może... coś na niższym piętrze? Ja... dostaję zawrotów głowy na dużych wysokościach.

– Oczywiście, to zajmie tylko chwilę. Pozwoli pani... – Mężczyzna wyciągnął płaski tablet i zaczął w nim szukać informacji.

Ogarnij się, Mariso, z wściekłością zganiła się w duchu. Choćby dla tego biedaka, który wykonuje jedynie swoją pracę, a sprawia wrażenie, jakby chciał teraz uciec w podskokach. I kto by mu się dziwił? Lęk wysokości? Przekroczyła już dawno granicę wstydu – niewątpliwie zażenowanie jeszcze do niej wróci, gdy będzie wspominać tę chwilę w swoich koszmarach.

Panika dopadła ją, gdy tylko wysiadła z taksówki. Znak z nazwą hotelu nie rzucał się w oczy, bo nie musiał – każdy znał słynną fasadę Madrigala w stylu art déco. Jednak litery nazwy raziły wzrok Marisy jak neon w połączeniu z przypływem wstydu i poczucia winy. Nie pamiętała, jak wysiadła z samochodu, zupełnie jakby groza wyparła jej wspomnienia.

Oczywiście oszczędziłaby sobie szoku, gdyby była bardziej uważna. Jej delikatne ciemnoblonde brwi ułożyły się w linię ponad bursztynowymi oczami otoczonymi gęstymi rzęsami. Choć była roztargniona, udało jej się ukryć rozczarowanie, gdy jej asystentka, Jennie, triumfalnie oznajmiła, że dokonała niemożliwego i w ostatniej chwili znalazła alternatywny hotel. Przypomniała sobie, że Jennie wspominała o prestiżu nowo zarezerwowanego apartamentu, podała nawet nazwę hotelu, ale myśli Marisy błądziły gdzie indziej i nie zarejestrowały tego. Była zbyt zajęta zadręczaniem siebie każdą potencjalną katastrofą, jaka mogła się przydarzyć podczas jej nieobecności.

Jej wzrok przebiegł po pokoju, dotarł do lekko uchylonych drzwi sypialni, skąd pośpiesznie się wycofał, skupiając się na czubkach jej

wysokich szpilek. Dodawały z dziesięć centymetrów do jej szczupłej, niemal stuosiemdziesięciocentymetrowej sylwetki.

Jennie poczekała wtedy, aż Marisa wsiądzie do taksówki, po czym ruszyła do metra spędzić zasłużony urlop z rodziną. Zanim odeszła, musiała przecież podać kierowcy adres. Marisa jednak była nieobecna myślami.

Gdy taksówka ruszyła, Marisa ani razu nie spojrzała za okno. Zamiast tego całą drogę sprawdzała mejle, skontaktowała się też z opiekunem Jamiego, Ashleyem, który na serię jej pełnych niepokoju pytań odpowiedział uspokajająco, po czym wysłał Marisie zdjęcia czterolatka doskonale bawiącego się na treningu małej ligi piłkarskiej.

Miała zaufanie do Ashleya, po prostu po raz pierwszy zostawiła Jamiego, od kiedy lekarze wyrazili na to zgodę.

Do tej pory dowolne wyjście z domu albo nie uwzględniało nocowania, albo zabierała synka ze sobą. To była dla niej duża zmiana. Z kolei Jamie zniósł to bez większych wrażeń, zwyczajowo pomachał jej na pożegnanie i wrócił do nowej, komputerowej gry.

Wiedziała, że jest bezpieczny i jej lęk jest nielogiczny. Niemniej, gdy żyje się w lęku tak długo jak ona, niełatwo porzucić ten nałóg. Tak długo obawiała się, że straci syna. Wzięła głęboki wdech, by stłumić narastającą panikę. Nie, powtarzała sobie samej z uporem, nie straci go, ponieważ teraz już był zdrowy.

Był wyjątkiem, jednym ze szczęśliwców, którym udało się w pełni wyzdrowieć. Choć był wyraźnie mniejszy i delikatniejszy niż rówieśnicy, Jamie był, jak to powiedzieli lekarze, równie zdrowy i odporny, jak każdy inny czterolatek i wkrótce dogoni inne dzieci w rozwoju.

Zastępca kierownika chrząknął i opuścił tablet.

– Mamy inny wolny pokój, choć nie jest tak...

– Tak olśniewający. Dziękuję bardzo. Wezmę go.

Włożyła okulary przeciwsłoneczne na mały, prosty nosek, by ukryć się za przyciemnionymi szklami, po czym zmusiła się do słabego uśmiechu.

– Oczywiście, raczy pani poczekać jeszcze kilka chwil, muszę dopilnować przygotowań. Pokój będzie na drugim piętrze. Nie ma pani nic przeciwko?

– Nie, w porządku. Po prostu przestraszył mnie ten balkon...

– Całkowicie rozumiem.

Na szczęście dla niej nie rozumiał ani trochę.

– Wróć za moment. – Odsunął dla niej krzesło stojące przy niewielkim stoliku. Po chwili usiadła.

– Coś pani podać?

Mruknęła coś niezrozumiałego, ledwie odnotowując dźwięk zamykanych drzwi. Jej myśli wypełniły obrazy, którym nie była w stanie się oprzeć.

Stała na balkonie za grubymi zasłonami sypialni. Była noc, tak ciemna, jak tylko może być w środku miasta. Patrzyła na błyszczącą wilgoć mokrych chodników, od której odbijało się światło latarni, gdy nagle poczuła, jak włoski stają jej dęba na karku. Nie była już sama.

Gdy położył na jej ramionach swe wielkie, silne dłonie straciła dech. Jak pociągnięta niewidzialną nicią marionetka oparła się plecami o jego tors, lgnąc do jego ciepła i twardych mięśni, wdychając wyjątkową, czystą woń męskiego ciała.

Trwali tak przez kilka chwil, jej serce biło mocno i powoli w oczekiwaniu, aż obrócił ją ku sobie. Jej twarz – niczym kwiat kierujący się ku słońcu – uniosła się ku niemu, by sięgnąć ustami jego zimnych, jędrnych warg.

Fala ciepła powoli rozlała się po jej ciele, trawiąc ją jak pożar, rozpuszczając kości. Upadłaby na pewno, gdyby muskularne ramię nie

objęło jej wąskiej talii tuż przed tym, jak poderwał ją do góry...

Przełknęła nerwowo, po czym odepchnęła od siebie wspomnienie. Spojrzała raz jeszcze na drzwi do sypialni i poczuła ucisk w żołądku.

Jakie były szanse, że ponownie znajdzie się właśnie w tym apartamencie?

Z całych sił walczyła, by nie wracać myślami do przeszłości. Wzięła głęboki, otrzeźwiający oddech. Już miała się uspokoić, gdy kątem oka przez szczelinę w drzwiach sypialni dostrzegła tamto łóżko. Bez ostrzeżenia obrazy przeszłości uderzyły ze zdwojoną siłą.

– Nie! – wycedziła przez zaciśnięte zęby, po czym przebiegła przez pomieszczenie i zdecydowanym ruchem zamknęła drzwi. Zaraz potem oparła się o nie plecami, wiedząc, że kilka centymetrów drewna nie ochroni jej przed wspomnieniami.

Niemal czuła na sobie deszcz padający z szarego jak ołów nieba tamtego dnia sprzed pięciu lat. Przemoczone włosy przylegały jej do głowy i pleców. Obecnie sięgają do łopatek, wtedy były znacznie dłuższe.

Mokre kosmki ciągle wpadały jej do oczu. Kałuże na chodniku pogłębiały się z każdą chwilą. Po kilku sekundach jej lniana garsonka była przemoczona na wylot, a gołe nogi poniżej džinsowej spódnicy były śliskie od wody. Każdemu krokowi obutych w sandały stóp towarzyszył chlupot. Wszelki ślad makijażu dawno z niej spłynął, dała też sobie spokój z ciągłym ścieraniem kropli deszczu z długich, zakręconych rzęs.

Wyjście zdawało jej się dobrym pomysłem, gdy w korytarzu czekała, aż Rupert wyjdzie z gabinetu onkologa po cotygodniowej wizycie. Teraz już nie. Niemniej gdy tylko dowiedziała się z przeglądanego czasopisma o nowej londyńskiej filii słynnego paryskiego cukiernika, postanowiła wyskoczyć po coś słodkiego dla Ruperta. Był wielkim wielbicielem czekolady, poza tym tyle mu zawdzięczała.

Rupert, który przynajmniej w świetle prawa był jej mężem, zwykł nazywać ich układ obopólnie korzystnym. Dla niej jednak była to jedyna droga ucieczki z niekończącego się koszmaru, w jakim tkwiła od śmierci ojca, nieraz więc postrzegała ich relację jako wielce jednostronną.

Rupert twierdził, że ma wielki dług wobec jej ojca. Choć w to wątpiła, to obu mężczyzn niewątpliwie łączyła przyjaźń. Ojciec miał wielu przyjaciół: był dowcipny, wygadany, hojny aż do przesady i wyprawiał legendarne przyjęcia. Większość z nich jednak zniknęła, gdy po jego śmierci okazało się, że w skutek prowadzonego stylu życia pozostał wyłącznie z długami.

Tylko jego śmierć tymczasowo powstrzymała komornika przed wizytą w pięknym domu, w którym żyła, zastawionym pod niejedną hipotekę. Służba nie dostawała pensji od dwóch miesięcy, czemu zaradziła, sprzedając biżuterię. Wszystko inne również musiało zostać sprzedane: flota samochodów w garażu, udziały ojca w koniu wyścigowym, który nie wygrał ani jednej gonitwy.

Żyła już w ubóstwie, ale nie to było problemem dla Marisy. Prawdziwym koszmarem okazały się długi ojca, które nie pochodziły z uczciwej działalności. Niektórzy z tych wierzycieli nie zamierzali czekać grzecznie, aż dostaną z powrotem ułamek pożyczonej kwoty.

Zastała ich złowieszczych przedstawicieli w swoim domu, gdy wróciła z pogrzebu ojca. Chcieli całej kwoty – i to natychmiast. Zawołowane groźby zmroziły jej krew w żyłach, ale najbardziej przeraziła ją sugestia, że mogłaby zredukować część długu, jeśli byłaby miła dla ważnych przyjaciół ich pracodawców.

Była wciąż roztrzęsiona, gdy przybył Rupert. Posadził ją w fotelu, nalał mocnej brandy i wyciągnął z niej całą historię. Dopiero wtedy podzielił się

z nią własnymi, szokującymi nowinami: powiedział jej, że umiera na raka. Nie chciał jej współczucia, nie bał się śmierci – był gotów odejść.

To, czego chciał uniknąć, powiedział, to śmierć w samotności. Był samotny od czasu śmierci miłości jego życia, mężczyzny, na pogrzebie którego nie mógł się nawet pojawić, bo jego wieloletni kochanek miał żonę i rodzinę niemającą pojęcia, że był gejem.

Małżeństwo z Marisą, jak tłumaczył, ułatwiłoby kwestie dziedziczenia po jego śmierci. Choć z pewnych powodów nie chciał wdawać się w szczegóły, czuł się zobowiązany wobec jej ojca, by zapewnić jej bezpieczeństwo. Marisa, pogrążona w żałobie i zdesperowana, zgodziła się wbrew wyrzutom sumienia.

Pobrali się tydzień później w cywilnej ceremonii. Nie mieli miesiąca miodowego, ale otworzyli z tej okazji butelkę szampana. Wtedy też po raz pierwszy Rupert zawstydził ją sugestią, że nie przeszkadzałoby mu, gdyby poza małżeństwem utrzymywała kontakty towarzyskie. Z mężczyznami. Odparła mu szczerze, że nieszczególnie ją to interesuje. Nieszczególnie poszukiwała kontaktów fizycznych. To, czego oczekiwała po związku, to bezpieczeństwo i stabilność.

Zrealizowała swoje marzenie o stabilności – aczkolwiek nie w sposób, w jaki sobie to wyobrażała. Ich układ działał sprawnie, lecz stawało się dla niej coraz bardziej jasne, że nie było w nim żadnej obopólnej korzyści. Zakrawało na ironię, że akurat jej próba ugaszenia wyrzutów sumienia drobnym, życzliwym gestem doprowadziła do szeregu zdarzeń, które pchnęły ją do aktu zdrady. I nie miało dla niej znaczenia to, że Rupert pozwolił jej mieć kochanków. Dla Marisy ten czyn pozostawał zdradą.

Poczekala, aż Rupert zapadł w swą poobiednią drzemkę, po czym wyszła kupić mu słodycze. Poszła krótszą drogą przez park, by cieszyć się przyjemnym popołudniem – i wtedy doszło do oberwania chmury.

Właśnie się zastanawiała, czy nie zamówić taksówki, gdy podczas obchodzenia kałuży z rozpędu zderzyła się z człowiekiem. Równie dobrze mogła się zderzyć ze stalowym murem. Siła zderzenia pozbawiła ją tchu w piersiach. Gdy odbiła się od niego, niemal straciła równowagę.

Przed wylądowaniem w kałuży uchroniła ją para wielkich dłoni, które objęły ją w talii i dosłownie postawiły z powrotem na nogi.

– Przepraszam, tak bardzo przepraszam... – zaczęła, unosząc głowę, ale widok mężczyzny, który cały czas trzymał dłonie na jej kibici, sprawił, że zapomniała, co chciała powiedzieć. Westchnęła płytko, czując skurcz w żołądku.

Zrozumiała, dlaczego się poczuła, jakby uderzyła o ścianę. Nieznajomy był szczupły, miał szerokie barki i niemal dwa metry wzrostu. Długi, markowy płaszcz przeciwdeszczowy miał narzucony na garnitur, strój jednak nie był w stanie zamaskować muskularnego i atletycznego ciała.

O ile fizyczne zderzenie odebrało jej dech, to spotkanie wzrokiem jego ciemnych oczu wstrzymało na moment pracę jej serca. Nigdy wcześniej, w trakcie dwudziestu jeden lat swego życia, nie spotkała nikogo, kto by tak emanował surową męskością. Przez jej ciało przebiegały dziwne, niepokojące doznania, zupełnie jakby była podłączona do prądu.

Najdziwniejsze było to, że odgłosy innych ludzi, korka na ulicy czy szalejącej nad nimi burzy jakby zeszły na dalszy plan. Zamiast nich sednem jej świata stała się przestrzeń między nią a tym niezwykłym, przepięknym mężczyzną.

Zdawała sobie sprawę, że się w niego wpatrywała, ale nie potrafiła przestać. Jego owalna twarz o mocno zarysowanej szczęce miała niesamowicie wyraźne kości policzkowe, intrygująco rzeźbione symetryczne rysy i brązowożółtą skórę. Widok jego zmysłowych ust znacząco podniósł temperaturę jej ciała.

Gęste brwi ponad zagadkowymi oczami uniosły się i nie mogła nie zauważyć, że są równie czarne jak jego zawinięte rzęsy.

– Wszystko w porządku?

Miał ledwie wyczuwalny akcent. Był schowany gdzieś między perfekcyjną dykcją i głębokim, aksamitem głosu. Uśmiechnął się, a w oczach miał coś równie głębokiego jak w głosie. Wzmocniło to drzenie w jej wnętrzu.

Uniosła dłoń, by odgarnąć mokre włosy z policzka. Mimo całej wilgoci jej twarz zdawała się rozpalona.

– Tak, tak... Nic mi nie jest – odparła. Jak na osobę, która faktycznie nie doznała uszczerbku, była zaskakująco roztrzęsiona. Miała tylko nadzieję, że nie było tego po niej widać. Przynajmniej nie będzie musiała się już zastanawiać, co to znaczy poczuć żądzę.

Niestety, zdała też sobie sprawę, że robi z siebie idiotkę. Nie miała przecież ani doświadczenia, ani umiejętności aktorskich, by maskować to, co właśnie czuła.

W jego cynicznym spojrzeniu dojrzała, że doskonale rozumiał, co między nimi zaszło.

– Jesteś cała mokra – rzekł, przeczesując dłonią kapiące wodą czarne włosy, by usunąć nadmiar wilgoci. Powtórzył gest, wykonując go pod włos, przez co jego fryzura przypominała teraz seksowne, mokre kolce. – Chcesz wejść do środka?

– Do środka...? – powtórzyła automatycznie.

Nie odrywając oczu od jej twarzy, kiwnął głową w kierunku wejścia do hotelu Madrigal.

Milczała na tyle długo, by dać mu do zrozumienia, że rozważa zaproszenie, a następnie otworzyła usta... i zaczęła bełkotać spanikowanym głosem, nienawidząc się za to.

– Nie, nie, nic mi nie jest. Ja przepraszam, że przeze mnie stoisz w deszczu i mokniesz, i dziękuję bardzo za... – Przerwała, zdając sobie sprawę, że robi z siebie kretynekę. Pokręciła głową, ale nie mogła ruszyć z miejsca. Nogi wrosły jej w mokrą ziemię, a oczy nie mogły się oderwać od wysokiego nieznajomego.

Uniósł ciemną brew.

– Cóż, jeśli zmienisz zdanie, zostaję tu przez cały tydzień.

Jego oferta wyrwała ją z paraliżu. Potrząsnęła po raz kolejny głową, tym razem wzrok wbiwszy bezpiecznie w mokry chodnik, po czym odwróciła się na pięcie i zniknęła w tłumie ludzi. Podczas biegu serce biło jej jak dzwony w katedrze. Z przyjemnością powitała chłodną pieszczotę deszczu na gorącej skórze.

Po początkowym przypiływie ulgi wywołanym ucieczką przed czymś, nad czym wolała się nie zastanawiać, przyłapała się na rozważaniach, co by się stało, gdyby zaakceptowała zaproszenie nieznajomego.

Nie bądź naiwna, Mariso, karciła się w myślach. Deszcz zmywał z niej oznaki zawstydenia. A może to było podniecenie?

Byłby to koniec tej historii, gdyby los nie skrzyżował jej drogi z drogą koleżanki ze szkoły, Cressy.

– Powinnyśmy się kiedyś spotkać – rzuciła Cressy poprzedniego tygodnia, gdy przypadkiem wpadły na siebie.

Była to typowa grzecznościowa formuła, jaką ludzie powtarzają bez zamiaru późniejszej realizacji. Marisa odparła w podobnym stylu, ani trochę nie spodziewając się, że cokolwiek z tego wyniknie.

Cressy jednakże zaprosiła ją na obiad i koniec końców to Rupert namówił Marisę, by poszła, szczęśliwy, że dziewczyna wreszcie gdzieś wyjdzie.

Tamtego wieczoru zostawiła go z ulubionym filmem i czekoladkami. Musiała przyznać, że miło było wreszcie ładnie się ubrać i wyjść do ludzi.

Zabawne, że w tym stroju i z odważną czerwoną szminką wyglądała jak ktoś, kim się nie czuła: seksowna i pewna siebie kobieta.

Cressy, która starała się wrócić do figury sprzed porodu, powiedziała, że jej zazdrości. Marisa jednak widziała po jej twarzy, gdy ta pokazywała zdjęcia męża i synków na telefonie, że Cressy nigdy nie zamieniłaby swojego życia na szczupłą sylwetkę i drogie ubrania.

W restauracji nie zdążyły nawet wybrać dań, gdy Cressy dostała telefon z domu. Jeden z chłopców miał podwyższoną temperaturę. Posłała Marisie pełne żalu spojrzenie i westchnęła.

– Wybacz, Mariso, ale...

– Nie przejmuj się, rozumiem. Jedź do domu, upewnij się, że chłopcom nic nie jest.

Ulga na twarzy koleżanki była wyraźnie widoczna.

Marisa skończyła swojego drinka, wysączyła także zawartość nietkniętej przez Cressy szklanki. Została sama, cała wystrojona, a była dopiero dziewiąta wieczorem. Mogła wrócić do domu. Rupert zawsze kładł się wcześniej, był więc pewnie w łóżku, oporzządzany przez pielęgniarkę, która musiała się do nich wprowadzić kilka tygodni wcześniej. Marisa zdecydowała, że przejdzie się w ten uroczy wieczór, aż jakimś trafem znalazła się pod Madrigalem, który był niemal po drodze do domu.

Nieznajomego pewnie nie będzie – uznała i zadrżała, gdy tylko o nim pomyślała. Nadal była wczesna godzina... czemu nie miałyby wstąpić do baru na strzemienne? Zawsze chciała zobaczyć, jak wyglądało wnętrze Madrigala, a była niewątpliwie odpowiednio ubrana.

Połączenie łudzenia się z wypitymi drinkami pchnęło ją przez drzwi do wyłożonego drewnem foyer. Wtedy dopiero uderzyła ją świadomość tego,

co robi, prowadząc za sobą wstyd i otrzeźwiającą grozę.

Zawróciła i niewątpliwie by wyszła, ale nagle czyjś głos sprawił, że wrosła w dywan w stylu Aubusson.

– Chciałabyś się czegoś napić?

Pełna niedowierzania i ekscytacji, z przyspieszonym oddechem, powoli się odwróciła.

Z sercem usiłującym rozbić jej klatkę piersiową, powędrowała wzrokiem po szczupłej, wysokiej sylwetce. Tego wieczoru miał na sobie pięknie skrojony ciemnoszary garnitur, pod nim bladoniebieską koszulę rozpiętą pod szyją, by odkryć opaloną skórę, i dość cienką, by zaznaczyć muskularną rzeźbę torsu. Drogie ubranie od krawca w żaden sposób nie stłumiło aury surowej, dzikiej męskości, jaką roztaczał.

– Nie, przyszłam tylko, żeby... – Zamrugwała. Po co tu przyszła?

On doskonale wie po co, pomyślała.

Zrobił krok do przodu i wyciągnął dłoń.

– Nazywam się Roman Bardales.

Po trwającym ułamek sekundy wahaniu ucisnęła mu dłoń. Ładunek elektryczny przebiegł jej po ramieniu i poraził całe ciało, gdy ciepłe palce zamknęły się na jej ręku. Po błysku jego brązowych oczu odgadła, że on również poczuł coś podobnego.

– Marisa Rayner – bąknęła i cofnęła rękę.

– Cieszę się, że przyszłaś.

– Ja... nie... – Uniósł kpiąco brew. Przerwała i rzuciła: – Cóż, jestem.

– Rozumiem – odparł. Poczowała dreszcze, gdy dogłębnie zbadał jej ciało spojrzeniem ciemnych oczu. – Co teraz?

– Co teraz? – wykrztusiła suchym gardłem.

– Jedziesz na górę? – Lekkim skinieniem głowy wskazał na windę za sobą.

Nie zaprosił jej na kawę ani na drinka, bo oboje wiedzieli, że nie po to się tu zjawiała.

– Ja... nie jestem taka.

– Rozumiem – odpowiedział powoli i z rozmysłem, po czym nie zrobił nic, by wpłynąć na jej decyzję.

Marisa w głębi serca wiedziała, że odwlekała nieuniknione. Podjęła już decyzję w momencie, gdy weszła do hotelu. Jej opór był potrzebny wyłącznie dla zachowania pozorów... dla niej, nie dla niego.

Lekko wzruszył potężnymi ramionami.

– Może zamiast tego pójdziemy na spacer?

Pokręciła głową.

– Nie, ja... – Westchnęła głośno i ruszyła ku windzie.

ROZDZIAŁ DRUGI

Nowo zatrudniony pracownik firmy Bardales bardzo chciał zrobić dobre wrażenie. Podwójnie sprawdził, czy wszystko na pokładzie prywatnego odrzutowca znajduje się na swoim miejscu. Zamiast pić kawę z resztą personelu w oczekiwaniu na przybycie pasażera, Alex zszedł po schodach na płytę lotniska w poszukiwaniu szefa stewardów.

Mężczyzna, którego szukał, był pogrążony w rozmowie z pilotem samolotu. Pewnie to nie najlepszy pomysł, by im przerywać, pomyślał.

Już miał wracać na pokład maszyny, gdy dostrzegł chmurę pyłu gdzieś na drodze, która krętą linią przecinała czerwoną ziemię na olśniewającym tle gór.

Zatrzymał się i obserwował, jak chmura zbliża się coraz bardziej. Poczuł ukłucie zawiści na widok opływowej sylwetki sportowego auta. Szlaban podniósł się przed nim z wyprzedzeniem, tak że nie musiało wytracać swej szaleńczej prędkości.

Samochód wyhamował na asfalcie, po czym wysiadł z niego wysoki, ciemnowłosy mężczyzna. Z wielką siłą zatrzasnął za sobą drzwi, po czym zdjął okulary przeciwsłoneczne i schował je do kieszeni. Lodowatym spojrzeniem omiótł płytę lotniska. Alex mimowolnie zrobił krok w tył. Odczuł ulgę, gdy pracownik ochrony, również pracujący od niedawna, ruszył ku nowo przybyłemu, aczkolwiek bez entuzjazmu. Trudno go za to winić. Barczysta sylwetka mężczyzny emanowała aurą zagrożenia.

Alex z ciekawością obserwował, jak ochroniarz się cofa. Każdy na lotnisku schodził z drogi barczystemu człowiekowi, jakby ten był gotów zmiażdżyć wszystko, co stanie mu na drodze. Zdezorientowany, Alex zaczął rozumieć scenę dziejącą się przed jego oczami, gdy dojrzał rysy twarzy zbliżającego się mężczyzny.

Zastanawiało go jednak, czy jego nowy pracodawca prowadzi podwójne życie.

Po prawdzie, Alex nigdy nie spotkał go osobiście, ale widział jego zdjęcie na stronie firmy. Na zdjęciach kierownik firmy był zawsze nienagannie ubrany i nieskazitelnie czysty. Teraz miał na sobie podziurawione džinsy, ciemny T-shirt opinający potężną muskulaturę oraz zakurzone i oznaczone zaschniętym błotem buty.

Na wszystkich zdjęciach czarne włosy pracodawcy były modnie przystryżone, ale zbliżający się człowiek miał je długie aż do szyi. Co jakiś czas zniecierpliwionym ruchem mężczyzna odgarniał je z oczu dłonią.

Orle rysy miały w sobie tę samą, znaną ze zdjęć, szlachetną symetrię, ale gładko ogoloną szczękę zastępował solidny zarost, niemal wpadający w kategorię celowo zapuszczanej brody. Całość sprawiała, że zbliżający się człowiek wyglądał co najmniej złowieszczo.

– Roman...!

Alex wychwycił szczerą serdeczność w głosie pilota. Starszy mężczyzna obszedł swój samolot i żwawym krokiem ruszył ku nowo przybyłemu, zaś Alex wreszcie zrozumiał.

Mężczyzna ten tak naprawdę był bratem Ria Bardalesa, identycznym bliźniakiem, który – jak zdawkowo informowała strona firmy – nie pełnił aktywnej roli w prowadzeniu przedsiębiorstwa. Informacja zawierała listę innowacji i udanych przedsięwzięć finansowych, za które odpowiadał brat prezesa, jak i wspominała o jego karierze autora bestsellerów.

Roman Bardales był znanym autorem thrillerów, a Hollywood jeszcze bardziej spopularyzowało wyczyny tajemniczego antybohatera jego książek: małomównego Danila, gustującego w szybkich samochodach, sportach ekstremalnych i pięknych, mądrych kobietach, którego jedynym stałym towarzyszem był pies, wilczak czechosłowacki.

Kampania reklamowa twierdziła, że Roman Bardales bardzo dba o realizm, a wszelkie wyczyny bohatera najpierw wykonuje osobiście. Jego zdjęcia ze wspinaczki po litej skale bez zabezpieczeń obiegające internet sugerowały, że nie był to wyłącznie zabieg marketingowy.

Alex nie czytał jego książek, ale był wielkim fanem ich ekranizacji. Przyjaciele będą mu zazdrościć. Może nawet uściśnie mu dłoń albo...

– Nie proś go o autograf.

Obejrzał się.

– Nie zamierzałem... – zaczął, ale pod wpływem przenikliwego spojrzenia starszego stewarda zamilkł i zaczerwienił się.

Potrzeba było kilku chwil, by znajomy głos przebił się przez stan skupienia, w jakim tkwił Roman przez całą podróż. To technika, jakiej używał podczas wspinaczki. Nie planował daleko do przodu, żył chwilą i skupiał się na niej i na najbliższym ruchu. Gdy zaczynasz błędzić myślami, gdy pozwalasz sobie na rozkojarzenie, konsekwencje mogą być śmiertelne.

Tym razem niebezpieczeństwem był nie upadek z wysokości, lecz utrata panowania nad szaleń. Gdy tylko pozwalał sobie myślami wybiegać w przyszłość, czerwona mgiełka przysłaniała mu wzrok. Rzucił wzrokiem na zaciśniętą prawą pięść i startą skórę na knykciach.

Otworzył i naprężył dłoń, po czym rozmasował ją o udo. On i jego brat nieraz wcześniej się kłócili. Było to nieuniknione, gdy spotykały się dwie

silne osobowości. Matka nazywała to walką o dominację.

Myśl o rodzicielce na moment uniosła do góry kącik jego ust, na sekundę nadając jego twarzy nieco łagodniejszy wygląd. Moment później wszelka łagodność wyparowała. Tym razem kłótka z Riem była inna. Była... instynktowna.

Nie chodziło tylko o cios, jaki zadał bratu, ale o to, że nie chciał przestać go okładać, a cholerny Rio nie zamierzał się bronić. A on... Roman zaczerpnął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze z płuc. Myślami wrócił do konfrontacji z bratem.

Gdy jego bliźniak poprosił, by go wysłuchał, Roman rozparł się na jednym z foteli, starając się ukryć uśmiech. Miał zamiar podręczyć nieco brata. Wydawało się, że Rio miał dziecko, o którym nie wiedział, i jego matka wparowała z butami w jego poukładane życie. Romana nie dziwiło, że Rio musiał zaczerpnąć powietrza, zanim zaczął mówić.

Pozwolił bratu dobrać do końca opowieści. Jak się okazało, nie chodziło o bękarta Ria, tylko o syna Romana. Uśmiech zastąpił mu wściekły grymas, gdy ruszył przez gabinet, aż stanął twarzą w twarz ze swym bliźniakiem.

– Marisa... – Jego Marisa, choć oczywiście nie była jego, nawet gdy leżała w jego łóżku i sprawiała, że czuł się... Pokręcił gwałtownie głową, odganiając wspomnienia. To wszystko były kłamstwa. Uczucia były iluzją. Ale ich dziecko było prawdziwe. – Przyszła do ciebie?!

– Nie było to dla niej łatwe. – Współczucie w oczach brata było tylko kolejną zniewagą. Z zaciśniętych pobladłych warg wydobył dziki, głuchy warkot. – Była zdesperowana. Nie miała do kogo się zwrócić.

– A co ze mną?! Jeśli potrzebowała dawcy szpiku dla syna, najlepiej spokrewnionego, to dlaczego nie przyszła do mnie, skoro jestem jego ojcem?!

Rio nawet nie drgnął, stał w miejscu z wyrazem winy wymalowanym na twarzy.

Nieco na to za późno, bracie!

– Ponieważ ty... – Ugryzł się w język, by powstrzymać się przed powiedzeniem tego, co planował. Zamiast tego rzucił sucho: – Mamy to samo DNA. Dziecko pilnie potrzebowało przeszczepu szpiku kostnego. Powinienem jej odmówić?

– Powinienesz powiedzieć o tym mnie! I co zamierzałeś powiedzieć?! Dlaczego nie miałyby przyjść z tym do mnie, zamiast do ciebie?

– Ponieważ – brat wreszcie stawiał opór – byłeś na okładce każdego tabloidu z tą blondyną podtykającą ci pod twarz swój obfity dekolt. Nie miałem powodów, by nie uwierzyć plotkom o twoich rychłych zaręczynach.

– Z Petrą łączyła mnie tylko praca – wycedził Roman przez zęby. – Była agentką dystrybutora filmu współpracującą z moim wydawcą.

Pamiętał, jak podeszła do niego, zdjęła okulary, rozpięła kilka guzików bluzki, po czym gwałtownie przyłgnęła do niego. Jej błękitne oczy posłały mu ostrzegawcze spojrzenie, gdy wymamrotała: graj. Tuliła się do niego, by chwilę później odegrać realistyczne zaskoczenie, gdy ustawieni paparazzi wycelowali w nich dziesiątki fleszy.

Początkowo jej machinacje go bawiły, więc pozwolił sytuacji się rozwijać nieco dłużej, niż powinien.

– Tylko praca?!

Skrzywił się, słysząc niedowierzanie w głosie brata.

– Odmówiłem wzięcia udziału w trasie promocyjnej filmu i nie udzielałem wywiadów, więc dystrybutor uznał, że okazjonalne zdjęcie mnie i Petry w prasie zrobi reklamę filmowi. Nie rozumiem, co to ma do rzeczy.

– W takim razie jesteś równie głupi, co nieogarnięty.

– Ach, więc z powodu mojej głupoty postanowiłeś uratować życie mojego dziecka, jednocześnie zatajając przede mną fakt jego istnienia. Teraz, by ulżyć wyrzutom sumienia, postanowiłeś poniewczasie mi o wszystkim opowiedzieć. Powiedz mi, Rio, czym pomysłem było ukrycie tego przede mną? Twoim czy Marisy? Zaoferowałeś jej usłużnie ramię, by mogła się wypłakać?! Tak, wyobrażam to sobie... – I faktycznie, przed oczami przewijały mu się realistyczne wizje Marisy składającej głowę na ramieniu brata, jej miękkiego ciała przyciśniętego do sylwetki Ria... Z furją strącił dłoń brata ze swego ramienia.

– Nie spodziewam się, że mi wybaczysz, Romanie, ale naprawdę robiłem to, co uważałem za najlepsze...

Wielokrotnie wracał myślami do tej sceny i był pewien, że Rio dostrzegł zbliżający się cios, ale nie próbował go nawet uniknąć.

Roman zostawił na podłodze brata próbującego zatamować krew płynącą z nosa. Odjechał, rozpędzając samochód do ogromnej prędkości. Po trzydziestu minutach zdał sobie sprawę, że nie ma pojęcia, dokąd chce jechać.

Skręcił w pustą drogę i przypomniał sobie przedostatnie słowa swego bliźniaka: Samolot będzie na ciebie czekał w gotowości.

Roman od razu odrzucił jego ofertę.

– Myślisz, że rzucę się za nią w pogoń?

– Pomyślałem, że możesz chcieć poznać syna. Na twoim miejscu bym tego pragnął. Są w Anglii.

– Ale nie jesteś na moim miejscu. Trzymaj nos z daleka od moich spraw! Skończyłem z tobą!

Teraz, gdy czerwona mgiełka roziała się sprzed jego oczu, stwierdził, że czekający na niego odrzutowiec może się przydać.

– Santiago. – Roman z szacunkiem skinął głową człowiekowi, dzięki któremu on i brat wyrobili sobie licencje pilotów. Starszy mężczyzna podszedł z wyciągniętą ku niemu ręką.

Uścisk dłoni przerodził się w męskie poklepywanie się po ramionach, aż wreszcie pilot cofnął się i spojrzał Romanowi w oczy.

Coś w spokojnym i pewnym siebie spojrzeniu Santiaga uspokoiło Romana.

– Dawno się nie widzieliśmy.

– Ze dwa lata, ale kto by to dokładnie liczył. Dzięki za cynk. Nieźle się obłowiłem.

Roman przez chwilę patrzył na niego bez wyrazu, po czym szeroko się uśmiechnął.

– A więc jednak zainwestowałeś w start-up Raoula, jak ci doradzałem?

Mężczyzna kiwnął głową.

– Byłbym głupi, gdybym tego nie zrobił. Teraz mam zabezpieczenie na czasy, gdy będę zbyt stary, by latać. – Rzucił okiem w kierunku samolotu, po czym dodał: – Znasz się na zarabianiu pieniędzy jak nikt!

Twarz Romana spochmurniała.

– Mam to po ojcu. – Niestety, przedsiębiorczość nie była jedyną rzeczą, jaką odziedziczył po tacie. Miał po nim także skłonności do gniewu i zazdrości, które zatruwały małżeństwo rodziców.

– Nie przypominam sobie, by miał twój talent do słowa pisanego. Przeczytałem twoją ostatnią książkę. – Krzaczaste brwi Santiaga uniosły się, po czym przebiegł wzrokiem po zużyтым stroju Romana. – Wracasz z sesji zdjęciowej do następnej okładki? Usiłujesz wydobyć swego wewnętrznego twardziela?

Roman skrzywił się zakłopotany, co wywołało jeszcze szerszy uśmiech Santiaga, choć pod płaszczykiem rozrywki pilot poczuł też ulgę, widząc,

jak potworne napięcie ulatnia się z ciała młodszego mężczyzny.

– Podobno nigdy nie opiszesz kaskaderskiej sceny, jeśli sam jej wcześniej nie wykonasz?

– Nie wierz we wszystko, co mówią. Co tam u Meg? – Roman poczuł się zawstydzony, że był zbyt pogrążony w swoich własnych problemach, by o to spytać.

– Nadal ma remisję choroby, więc korzystamy z życia. Powinieneś kiedyś tego spróbować.

– Czego? – spytał Roman, idąc obok rozmówcy w stronę samolotu.

– Małżeństwa.

– Nie jestem materiałem na męża.

Ale też nie jestem materiałem na ojca, a tu jaka niespodzianka mnie spotkała.

– Też nie byłem, dopóki nie poznałem Meg.

– Kobiety takie jak Meg są rzadkie.

Takie jak Marisa również są rzadkością, ale w zupełnie innym sensie.

Marisy tego świata kłamstwami wdzierają się do umysłów mężczyzn, stają się im równie potrzebne, jak tlen, a potem wracają do innego. Do męża. Całe życie odgradzał się od świata murami, a ona rozbiła je jednym głodnym spojrzeniem złocistych oczu.

Westchnął. Zabawiła się jego kosztem. Uderzyła tam, gdzie bolało najbardziej – w jego dumę – niemniej już się pozbierał.

Jego przygoda z Marisą była bodźcem, którego potrzebował, by się otrząsnąć i zacząć nowe życie. Zerwał więzi, których już nie potrzebował, i pozbył się odpowiedzialności, jakich sobie nie życzył. Polegał wyłącznie na sobie, a nikt nie polegał na nim. Czy to nie sedno definicji wolności?

Na tę myśl zmarszczył brwi, przeskakując do następnej logicznej konkluzji. Miał teraz syna i to była odpowiedzialność, której nie mógł zignorować.

Do niej właśnie zmierzał.

Niech ktoś ostrzeże dzieciaka, zakpił w myślach.

Spiął się. Niechętnie przyjął do wiadomości głęboko skrywany lęk. To z jego powodu postanowił, że nigdy nie będzie ojcem. Miał w sobie za dużo z własnego ojca. Roman postanowił przerwać błędne koło. Jego dziedzictwem na tej ziemi nie będzie emocjonalnie kalekie dziecko. *Dios*, to nie miało prawa się wydarzyć. Nie powinno być żadnego dziecka!

Oczywiście, zabezpieczył się, ale każdy wie, że jedyną niezawodną metodą antykoncepcji jest wstrzemięźliwość seksualna. Ta zaś nie wchodziła w rachubę od momentu, gdy zobaczył ją w lobby, stojącą w tych niewiarygodnie wysokich szpilkach. Jej nogi wydawały się przez to nieskończenie długie, a ten skrawek jedwabiu, który nazywała sukienką, idealnie przylegał do wszystkich jej krągłości.

– Dołączysz do mnie? – spytał Santiago, skinieniem głowy wskazując kokpit.

Roman pokręcił głową, jakby chciał się otrząpać z plątaniny myśli.

– Nie tym razem – odparł.

Wśród obsługi było kilka znajomych twarzy, ale czuł się zbyt emocjonalnie wyczerpany, by się witać.

Zajął miejsce i zapiał pasy. Nawet próba zachowania pozorów normalności była ponad jego siły. Zastanawiał się, czy jeszcze kiedykolwiek zazna choć jednej normalnej chwili w życiu.

Miał dziecko.

Ileż to razy widział, jak jego ojciec wyśmiewał, lekceważył bądź krytykował matkę, albo też widział znaki nieuchronnego wybuchu

ojcowskiej furii.

W takich chwilach zawsze powtarzał w myślach jak mantrę: nie jestem taki jak on. Nie będę takim człowiekiem.

Dziecięca determinacja przerodziła się w postanowienie dorosłego człowieka. To go ukształtowało. Wiedział, że musi trzymać emocje na wodzy. Zdawał sobie sprawę, że nie może pragnąć nikogo ani niczego tak mocno, by stało się to niebezpieczną obsesją.

Godził się, że będzie uznawany za zdystansowanego i pozbawionego emocji, a jego byłe będą mu zarzucały bezduszość. Żadna kobieta nie miała dostępu do jego dzikiego, mrocznego wnętrza. Żadna prócz Marisy. Ku jego przerażeniu obudziła wszystkie emocje, jakie w sobie tłumił. Obudziła w nim coś pierwotnego i niekontrolowanego.

Oparł przedramiona na oparciach fotela i płynnym ruchem zerwał się na nogi, wywołując niepokój u stewarda.

Odgarnął włosy z czoła. Był wykończony brakiem snu i szokującą informacją o synu. Niemniej samokontrola była jego opoką, jego siłą, i choć musiał się postarać, udało mu się przywołać na twarz coś, co przypominało uśmiech.

– Przepraszam, ja tylko zmierzałem do... – Gestem wskazał w kierunku sąsiedniej kabiny, po czym ruszył schronić się w kabinie sypialnej.

Wszelkie rzeczy osobiste brata zostały schowane z wyjątkiem fotografii obu bliźniaków zatkniętej za ramę wielkiego lustra. Podeszedł zamaszystym krokiem; wolał skierować wzrok na zdjęcie niż na własne odbicie. Dwie identyczne twarze odpowiedziały spojrzeniem. Poczuł, że coś mu się kotłuje w piersi i zanim zdołał nazwać tę emocję, przeniósł szybko wzrok bezpośrednio na swe odbicie.

Sprawdzał w komórce odpowiedzi na liczne wysłane wiadomości. Przeglądał mejl od wynajętej firmy detektywistycznej. Był krótki i na temat. Dokładniejszy raport zgodnie z umową miał dostać w przeciągu dwudziestu czterech godzin. Istniała mała szansa, że zdjęcie jego syna, Jamesa Alexandra, będzie gdzieś w domenie publicznej, ale firma w przeszłości nieraz okazywała się bardzo skuteczna w poszukiwaniach. W wiadomości było kilka informacji dodatkowych, jak data urodzenia Marisy czy jej stan cywilny, który znał. Nagle palec zamarł mu nad ekranem, a jego serce mocniej zabiło, gdy odkrył szczegół, na który na początku nie zwrócił uwagi.

Marisa Rayner była teraz wdową.

Wykrzywił usta w cynicznym uśmiechu. Przynajmniej jego syn nie będzie nazywał innego mężczyzny ojcem. Poza tą jedną kwestią informacja ta nie miała dla niego żadnego znaczenia.

Kolejny punkt wywołał jeszcze paskudniejszy uśmiech Romana. Marisa przebywała obecnie w pięciogwiazdkowym, luksusowym hotelu Madrigal – tym samym, w którym jego syn został poczęty. O ironio! Brakowało tylko informacji, czy jego synek jest tam razem z nią.

Nadludzkim wysiłkiem poskromił narastający gniew. Zachował go dla odpowiedniej osoby. Zmusił się do przeczytania wiadomości ponownie, tym razem powoli i uważnie.

Marisa była jedną z zaproszonych prelegentek międzynarodowej akcji dobroczynnej w Madrigalu.

Nie wspominali, czy łączy interesy z przyjemnością.

Nie, żeby go interesowało, z kim teraz sypia – przekonywał sam siebie.

Nie wyobrażał sobie, by kobieta o jej seksualnym apetycie pozostawała długo samotna. Może miała wyrobione nawyki, a Madrigal był jej terenem łowieckim?

Nigdy nie planował wracać do tego miejsca, które stało się sceną jego całkowitego poniżenia. Przez wiele miesięcy przeżywał ponownie w myślach to, co się wtedy wydarzyło.

Pamiętał każde słowo swoich oświadczeń. Zanim doszedł do połowy przygotowanej wcześniej mowy, zanim zdążył otworzyć pudełko z pierścieniem, który tak starannie dobrał, poprosiła go, by przestał.

– Romanie, proszę, nie mów już nic więcej. Przyszłam dziś do ciebie, by ci powiedzieć, że nie mogę się już z tobą spotykać.

– Kochasz mnie. – Nadal słyszał niezachwianą pewność w swoim głosie.

Wspomnienie cichego, łamiącego się głosu Marisy, błagającego go, by tego nie powtarzał, nadal miało moc wpędzenia go w dogłębną odrazę do siebie.

– Proszę, Romanie, nie rób tego. Ja nie... Ja nie mogę... Nic nie rozumiesz. Nie mogę wyjść za ciebie za mąż ponieważ ja już mam męża.

– To nie może być prawda!

Początkowo sądził, że zmyślała. Odkrycie w czasie pierwszej nocy, jaką spędzili ze sobą, że Marisa jest dziewczyną, wstrząsnęło nim.

– To małżeństwo... z rozsądku. Między nami nie ma... Nie mamy... – zarumieniła się – ...zblizeń.

– Więc kim wy dla siebie jesteście, do cholery?

– Jesteśmy tylko przyjaciółmi – powiedziała cicho. – I szanuję go bardziej niż jakąkolwiek inną znaną mi osobę. Zawdzięczam mu bardzo wiele i go nie opuszczę...

Roman szybko przetłumaczył to sobie na zrozumiały język.

– Masz na myśli to, że wyszłaś za niego dla pieniędzy! Cóż, skarbie, trzeba było czekać, bo jeśli to właśnie cię pociąga w facetach, to ja mam tego dużo więcej...

Wzdrygnęła się, ale kontynuowała cicho:

– Zraniłam cię i jest mi bardzo przykro. Nie powinnam do tego doprowadzić. To wszystko moja wina i żałuję, że nie mogę tego cofnąć...

Roman dostrzegł coś w swoim lustrzanym odbiciu, coś w oczach, czego od dawna nie widział. Taki wyraz miały podczas dni, tygodni i miesięcy, gdy żył uczepiony do wspomnień bycia razem z Marisą. Wreszcie udało mu się uciec tym wspomnieniom, choć wymagało to stworzenia siebie od nowa. Nie zamierzał do nich wracać. Jedzie wyłącznie po syna.

Tylko co z nim zrobisz, Romanie, gdy go już zabierzesz? A może to nie ma dla ciebie znaczenia tak długo, jak ona go nie ma?

Piętnaście minut później stał przed tym samym lustrem całkowicie odmieniony. Niesamowite, jaką różnicę robi staranne ogolenie się, szczególnie w połączeniu z zaczesaniem włosów do tyłu.

Garnitur brata, prawdopodobnie skrojony idealnie na miarę, zdawał się nieco zbyt ciasny w ramionach, ale leżał idealnie. Jedynym zgrzytem w wyglądzie były jego znoszone pustynne buty. Nie miał jednak zamiaru poświęcać wygody na rzecz wyglądu – miał stopę o pół numeru większą od brata.

Gdy wreszcie znalazł się na płycie lotniska, nikt nie patrzył na buty, za to wiele osób patrzyło na niego. Liczne pary oczu podążały za wysoką dynamiczną sylwetką emanującą siłą, jednak Roman nie zwracał na nie uwagi. Jego umysł był skupiony na jednym celu.

ROZDZIAŁ TRZECI

– Bardzo mi przykro, proszę pana, ale ten apartament jest zajęty – powiedział recepcjonista Madrigala.

Zanim Roman mógł zareagować na wieść, że apartament sto czterdzieści cztery jest niedostępny – zresztą było to dość masochistyczne z jego strony, by odwiedzać ponownie scenę swego poniżenia – zastępca kierownika pojawił się obok niego.

– W zasadzie niespodziewanie został zwolniony.

Mężczyzna w garniturze wyciągnął z kieszeni kartę-klucz i podał ją Romanowi.

Pokojówka właśnie wychodziła z jego apartamentu, gdy się zbliżał. Roman uśmiechnął się do niej, wywołując u dziewczyny rumieniec. Wyciągnął z kieszeni kartę, by otworzyć drzwi, gdy naszła go pewna myśl.

– Przepraszam, panienko... – Dziewczyna momentalnie odwróciła się, szczerze uśmiechnięta. – Moja przyjaciółka przebywa także w tym hotelu, nazywa się Marisa Rayner... Jak sądzę, nie może mi pani podać numeru jej pokoju?

Spochmurniała.

– Przykro mi, proszę pana, ale jest to zabronione.

Westchnął.

– Rozumiem. Po prostu dziś ma urodziny i chciałem jej zrobić niespodziankę...

– Cóż, jeśli nie powie pan nikomu, że dowiedział się pan tego ode mnie...

– Będę milczeć jak grób – obiecał.

Ekran pociemniał i Marisa z westchnieniem zamknęła laptop. Złożyła głowę z powrotem na poduszce, kark miała zeszywniały z napięcia. Zastanawiała się tylko, czy wziąć prysznic przed, czy też po lekturze notatek potrzebnych do jutrzejszego wystąpienia.

Na pewno nie będzie teraz myśleć o apartamencie na górze. Wstyd jej było za to historyczne załamanie. Wspomnienia nadal były bolesne. Napawało ją wstydem, ilekroć wracała myślą do tych dziesięciu dni spędzonych tam w łóżku z Romanem. Czuła, jakby to nie były jej działania, lecz kogoś zupełnie obcego. Nie potrafiła poznać tamtej kobiety poddającej się bez walki rozbudzonym, dzikim namiętnościom.

Przynajmniej już się uspokoiła, szczególnie po raporcie od Ashleya i po rozmowie z Jamiem. Oczywiście tęskniła za nim, ale on zdawał się w ogóle nie tęsknić za nią. I bardzo dobrze.

Na odgłos pukania niechętnie obróciła głowę w kierunku drzwi.

Westchnęła i z wysiłkiem uniosła się z łóżka. Wsunęła stopy w zrzucone buty i wygładziła włosy. Jeśli to kolejny kosz z owocami lub czekoladki, to będzie musiała wytłumaczyć obsłudze hotelowej, że nie zamierza składać zażaleń, ponieważ nie zrobili niczego złego.

Otworzyła drzwi z uśmiechem.

Zakręciło jej się w głowie tak mocno, że sama była zdziwiona, że jeszcze stoi. Jej twarz zrobiła się biała, poczuła też, jakby ładunek elektryczny przebiegł jej po ciele. Na ułamek sekundy jej mózg się zawiesił, chwilę potem zdołała wybełkotać:

– Nie, to się nie dzieje naprawdę.

Roman czerpałby większą przyjemność z jej szoku, gdyby sam nie doświadczał podobnej reakcji.

Wywoływał w sobie czystą furję i chęć odwetu, gdy czekał w hallu, aż otworzy drzwi, lecz gdy ją zobaczył, zdał sobie sprawę, że pod płaszczykiem gniewu skrywał warstwy pokomplikowanych emocji i uczuć. Starał się skupić na wściekłości, nie na paraliżującej go, dojmującej żądz.

– Roman?! – Zdławiony dźwięk wyleciał z jej ust, gdy przebiegała po nim wzrokiem.

Spojrzała mu w oczy i dostrzegła w nich ciemność i nic poza tym. Mógł wyglądać niemal tak samo, ale był już kimś innym, zdała sobie sprawę, po czym ciarki przebiegły jej w dół kręgosłupa.

– Pochlebia mi, że mnie pamiętasz. – Kpiący uśmiech zniknął z jego twarzy. – Musimy porozmawiać – dodał zwięźle.

– Doprawdy? – Udało jej się przemycić nutę zaskoczenia w głosie. – Cóż, jakkolwiek bardzo chciałabym się dowiedzieć, co u ciebie – dodała z beczelnie nieszczerym uśmiechem – akurat teraz jest na to nie najlepszy moment. Muszę się przygotować do wygłoszenia przemówienia. – Gestem wskazała przestrzeń za nim, licząc, że zrozumie, że nie jest już głupią młodziutką kobietą rozpaczliwie w nim zakochaną do tego stopnia, że dla niego złamała wszystkie zasady, w jakie wierzyła. – Muszę też zadzwonić do mojej osobistej asystentki. Natychmiast.

– Sądzę, że zechcesz znaleźć dla mnie czas – rzucił, niespecjalnie przejmując się maskowaniem groźby. – Jesteś tu sama?

Zesztywniała, pewna, że winę ma wymalowaną na twarzy. Przez skojarzenie przez jej myśl przeleciał obraz twarzy jej synka umorusanej czekoladą.

Nie mógł o nim wiedzieć, ale jeśli nie wiedział, to po co tu przyszedł?

– Moje przemówienie...

– Twoje przemówienie jest jutro.

Schowała spojrzenie za murem rzes i uniosła brodę w geście zdeterminowanego oporu. Rozpaczliwie chwyciła się tego gestu. Tylko on stał między nią a atakiem paniki.

– Lubię się dobrze przygotować.

Nic jednak nie mogło jej przygotować na spotkanie na progu dwóch metrów Romana Bardalesa – i to jeszcze tutaj, w tym hotelu.

Czy to zbieg okoliczności? A jeśli nie...

Pozwalam przemawiać swoim wyrzutom sumienia, powiedziała sobie w duchu. Ignorowała je. Poczucie winy było czymś, z czym musiała żyć każdego dnia. To była cena, jaką płaciła za świadomą decyzję, by ukryć istnienie dziecka przed jego ojcem, niezależnie od powodów stojących za tym wyborem.

Ponowne spotkanie Romana utwierdziło ją w przekonaniu, że z czysto egoistycznego punktu widzenia dokonała dobrej decyzji. Pojawianie się tego mężczyzny w życiu jej i Jamiego uniemożliwiłoby budowę jakiegokolwiek przyszłości bez niego. Był jak potężny żywioł, jak siła natury.

Pozbawienie dziecka ojca nie jest czymś, co przychodzi łatwo. Z pewnością lepiej jednak nie mieć ojca, niż mieć takiego, który cię odtrąci, lub, w najlepszym przypadku, niechętnie przyjmie do wiadomości twoje istnienie.

Z osobistego doświadczenia wiedziała, że dziecko porzucone przez rodzica żyje w poczuciu, że to jego wina, nawet jeśli logika i kochający ojciec zapewniają, że to nieprawda. Jej tata nigdy nie oczerniał matki. Mówił tylko, że nie była w stanie poradzić sobie z macierzyństwem.

Wiedziała, że jeden rodzic w zupełności wystarcza. Jej tata może nie był ideałem, ale niezależnie od jego wad zawsze wiedziała, że ją kochał, i tylko to się dla niej liczyło.

Jej dziecko nigdy nie zwątpi w jej miłość.

Pomijając względy moralne, dokonała słusznej decyzji. Roman nigdy nie cieszyłby się z dziecka tak jak ona. Miał na temat rodzicielstwa wyrobioną opinię. Nawet gdy się jej oświadczał, ostrzegł ją, że małżeństwo z nim wyklucza potomstwo. Brak dzieci był jedynym warunkiem, jaki jej postawił.

Podjęła zatem decyzję i teraz musi z nią żyć.

– Przykro mi, ale nie zamierzam cię zaprosić. Wolę zostawić przeszłość za sobą – powiedziała cicho.

Uniósł brew.

– W porządku, zatem może omówimy to tutaj, jeśli wolisz?

Skrzyżowała ramiona na piersi w podświadomym obronnym geście.

– W ogóle nie mam ochoty z tobą rozmawiać.

– Swoją drogą, mój brat przesyła pozdrowienia.

Marisa jedną dłoń przycisnęła do brzucha, drugą zakryła usta.

– Powiedział ci.

To nie było pytanie, ale Roman i tak na nie odpowiedział.

– Rio miał wyrzuty sumienia – zauważył oschle, po czym dodał, mierząc ją lodowatym spojrzeniem: – choć przyszły nieco za późno, by miały jakiegokolwiek znaczenie.

Bez słowa obróciła się na pięcie i weszła do apartamentu, oczekując, że podąży za nią.

Gdy zamknął za sobą drzwi, zwróciła się ku niemu. Rozpoznała, że nie był do końca pewien, czego oczekiwać, gdy mierzyła go bursztynowym wzrokiem.

– Siadaj. – Wskazała w kierunku obitej brokatem kanapy.

Dostrzegła jego posiniaczone knykcie.

– Biłeś się z bratem z tego powodu? – Patrzyła, jak przykrywa posiniaczoną dłoń drugą, zdrową. Poczowała ukłucie w sercu. – Musisz wiedzieć – zaczęła – że twój brat bardzo chciał ci o tym powiedzieć.

Zmarszczyła czoło ze zmartwienia. Nie chciała poróżnić braci, ale nie widziała wówczas innego rozwiązania. Do czasu, gdy lekarze nie stwierdzili pełnego wyzdrowienia Jamiego, w ogóle się nie zastanawiała nad tym, że stawia Ria w strasznie trudnej sytuacji.

– Ale nie powiedział. – Obrona jego bliźniaka tylko podsyciła jego gniew.

– To była moja decyzja. Mieliśmy tylko przelotną znajomość, nic poważnego...

– Oświadczyłem ci się! Chciałem się z tobą ożenić! Oczywiście nie miałem wówczas pojęcia, że już miałaś męża, ale oświadczyzny sugerują chyba, że traktowałem naszą relację poważnie?!

Tym razem to Marisa wybuchła gniewem.

– Dlaczego nie powiedziałam ci o naszym dziecku? Oj, nie wiem, Romanie. Może z powodu klauzuli w twoich oświadczeniach?

– O czym, u diabła, mówisz?

Zerwała się na równe nogi, niesiona wściekłością.

– Dobitnie mi powiedziałeś, że jeśli za ciebie wyjdę, to nigdy nie będziemy mieć dzieci i nie zmienisz zdania w tej materii.

Jego twarz zamieniła się w pozbawioną wyrazu maskę.

– Mogłem faktycznie powiedzieć coś podobnego...

– Powiedziałeś dokładnie właśnie to, więc co byś mi odparł, gdybym ci ujawniła, że jestem w ciąży? „Wspaniale, załóżmy rodzinę”? Oczywiście, że nie. Kazałbyś mi usunąć ciążę.

Pobladł pod ciężarem tego oskarżenia. Ona jednak zignorowała wszelkie znaki ostrzegawcze i kontynuowała, wylewając z siebie długo tłumione emocje.

– Jamie jest na świecie tylko dzięki mnie... Ty nigdy nie chciałeś jego narodzin. – Płonącymi oczyma rzucała mu wyzwanie, by próbował zaprzeczyć, ale nie zamierzała dać mu okazji do odpowiedzi. Na ostatnim, pełnym pasji i szczerości wydechu rzuciła: – Od kiedy jednak wiedziałam, że istnieje, chciałam mojego dziecka.

Prawda bijąca z jej słów na moment go uciszyła.

– Nigdy się nie dowiemy, co bym powiedział lub zrobił, bo zataiłaś przede mną istnienie syna. Pozwoliłaś światu i mężowi frajerowi wierzyć, że dziecko jest jego.

– Rupert nie wiedział. Nie zorientował się, że jestem w ciąży... aż do jego śmierci.

Śmierć Ruperta, choć spodziewana, wydarzyła się bardzo szybko, pozostawiając ją oszołomioną i samotną. Może nie byli małżeństwem w tradycyjnym sensie, ale póki żył, Rupert dbał o nią. Jego wsparcie nie było tylko finansowe, ale też emocjonalne. Przez krótki czas, zapewne jedyny raz w jej życiu, czuła, że jest bezpieczna.

– Ale gdyby wiedział, powiedziałabyś mu, że dziecko jest jego, choć, jak sądzę, najpierw musiałabyś się z nim przespać – rzucił jadownicę.

Zapłonęła gniewem.

– Nie masz prawa mówić o Rupercie w taki sposób. Nie mieliśmy przed sobą tajemnic i gdyby życie potoczyło się inaczej, byłby cudownym ojcem.

– Zatem o mnie mu powiedziałaś?

Po raz pierwszy uciekła wzrokiem przed jego spojrzeniem.

– Chwila była niewłaściwa.

Gdy wróciła wieczorem do domu w dniu oświadczyn Romana, lokaj poinformował ją, że Rupert źle się czuje. Gdy pospieszyła do sypialni męża, był cały szary, więc natychmiast wezwała ambulans. Jak mogła go obarczać swoimi problemami, kiedy był tak bardzo chory?

– Gdzie teraz jest dziecko? – Zobaczyła błysk w oczach Romana. – Jak go nazywasz? James czy Alexander?

– Jamie jest teraz w domu. – Nie wiedziała o istnieniu wiejskiej posiadłości w Sussex do czasu, gdy ją odziedziczyła. Zdawała się świetnym miejscem do wychowywania dziecka.

– Jak często zostawiasz go samego?

Oburzyło ją, że sugerował, jakoby była nieobecną matką. Już miała zacząć protestować, ale się powstrzymała, zdawszy sobie sprawę, że nie musi się przed nim tłumaczyć.

– Masz problem z pracującymi matkami?

Zamrugął zaskoczony, jak sprawnie obróciła jego słowa przeciwko niemu.

– Oczywiście, że nie! – warknął zirytowany.

– Ma doskonałą opiekę.

– A gdzie się znajduje jego dom?

– W Sussex.

– Chcę się z nim zobaczyć.

– Czemu?

Zmarszczył brwi i spojrzał na nią, jakby zadała najbardziej absurdalne pytanie na świecie.

– Czy to nie oczywiste? To mój syn!

– Biologicznie, owszem, to twój syn – zgodziła się. – Ale nie jesteś dla niego ojcem. Do tego potrzeba czegoś więcej niż DNA. Czego ty właściwie

chcesz, Romanie? Usłyszeć, jak nazywa cię tatusiem, czy też ma się pojawić u twego progu raz czy dwa razy do roku?

– Chcę... – zawahał się, a po chwili zaczął ponownie: – Pozbawiłaś mnie niemal pięciu lat jego życia, więc sędzę, że jesteś mi to winna.

– A jeśli się nie zgodzę? – Znała już odpowiedź na to pytanie. Zdradzały ją wyraz jego oczu i bezlitosny uśmiech.

– Nie pozwolę ci się nie zgodzić. Jesteś mi to winna, Mariso.

Przycisnęła palce do skroni, w miejscu, gdzie ukłucia bólu zapowiadały nieuchronną migrenę.

Jeśli mu odmówi, znajdzie inny sposób, by dostać się do Jamiego. Jeśli się zgodzi, przynajmniej będzie mogła kontrolować sytuację. Rzut oka na twarz Romana powiedział jej, że to jednak myślenie życzeniowe.

– Jestem to winna Jamiemu, jeśli już, ale potrafię zrozumieć twoje uczucia. Co powiesz na piątek?

– Jutro.

– Ale...

– Twoje przemówienie odbywa się rano. Sussex to nie rubież Mongolii, przylecę o drugiej.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Rupert zakupił dwór z siedemnastego wieku wraz z otaczającą go ziemią jako inwestycję. Dla Marisy był on jednak domem, być może pierwszym prawdziwym, jaki miała. W dzieciństwie nigdy nie wiedziała, gdzie spędzi wakacje: w apartamencie hotelu na Lazurowym Wybrzeżu, w luksusowym lofcie w Londynie czy, gdy ojciec miał pecha w kartach, w gościnie w domu jednego z jego przyjaciół.

W ciągu tych lat mieszkała także w pięknych pokojach, nauczyła się jednak zbytnio do nich nie przywiązywać. Swe dziecięce skarby trzymała w łatwym do spakowania cynowym pudełeczku, chowanym pod kolejnymi łózkami, na jakich dane jej było spać.

Chciała, by Jamie miał w dzieciństwie poczucie stabilności, którego sama tak pożałowała. Chciała, by mógł mieć zwierzątka czy możliwość zawarcia długotrwałych przyjaźni.

Przeniosła się do Rozens Manor na czas ciąży, więc było to miejsce, które najdłużej mogła nazywać domem. Poprzedni właściciel odnowił willę i przyległe budynki użytkowe. Rupert ograniczył się do zatrudnienia minimalnej obsługi koniecznej do utrzymania obiektu.

Marisa odcisnęła na budynku swoje piętno, angażując się w odnawianie, jednak nie zwiększyła liczby obsługi. Była to, mówiąc językiem handlarza nieruchomości, mała, łatwa w utrzymaniu posiadłość. Oczywiście, jeśli budynek z ośmioma sypialniami, domkiem dla rodziny i budowlą, w której niegdyś mieściły się stajnie, można nazwać małym.

Jedynym nowym pracownikiem była męska niania, co nawet teraz, w dwudziestym pierwszym wieku wywoływało zdziwienie. Ashley był teraz wraz z Jamiem w ogrodzie, podczas gdy Marisa oczekiwała na przybycie Romana z entuzjazmem, z jakim zwykle wita się nawrót choroby.

Wszyscy pozostali pracownicy dostali dzień wolny. Stała się obiektem plotek, gdy tylko zatrudniła mężczyznę w charakterze niani. I choć było to nie do uniknięcia, wołała jednak odwlec w czasie moment, gdy zarówno lokalna społeczność, jak i reszta świata dowiedzą się o Romanie.

Zapewne będzie chciał uznania jego ojcostwa, ale biorąc pod uwagę, że nigdy nie planował mieć dziecka, nie wiedziała, jak się zachowa w obliczu prawdziwych wyzwań rodzicielstwa.

Nie chciała Romana w życiu swoim i syna, ale dla dobra Jamiego nie chciała też, by odtrącił syna.

Z ręką opartą o rzeźbiony nad kominkiem herb dawno zmarłych budowniczych tego miejsca przyglądała się hortensjom, gdy usłyszała trzaśnięcie drzwiami samochodu.

Nerwowo szarpnęła kołnierz swojej kaszmirowej marynarskiej bluzki. Miała na sobie także bladoniebieskie lniane spodnie i balerinki z miękkiej skóry.

Zachowa spokój, będzie rozluźniona, ale nie straci panowania nad sytuacją. Będą grali według jej zasad, bo tu chodzi o Jamiego.

Zamknęła oczy i policzyła do dziesięciu. Na dźwięk szybkich kroków po żwirze spięła się, po czym ruszyła w kierunku drzwi. Z jakiegoś powodu w tym momencie ważne było, by to ona otworzyła drzwi, a nie zareagowała na jego roszczeniowe pukanie.

Podeszwy jej pantofli nie wydawały dźwięków na kamiennej posadce. Dobiegła do drzwi otoczonych z obu stron kamiennymi lwami i nieco bardziej praktycznymi stojakami na płaszcze. Masywne drzwi

z metalowymi okuciami trudno się otwierało, dlatego cieszyła się, że zostawiła je lekko uchylone.

W ostatniej chwili poprawiła włosy i przywołała uśmiech na twarz, po czym pchnęła drzwi.

Roman zatrzymał się, gdy potężne drewniane skrzydła drzwi wejściowych otwały się, ukazując stojącą za nimi szczupłą sylwetkę. Wziął głęboki wdech, ponieważ wyglądała tak... Brakowało mu słowa, by opisać ją czy też własną reakcję na jej bliskość.

Z braku lepszego określenia został przy słowie: elegancko. Przychodziło jej to z naturalną łatwością, co w połączeniu z jej seksapilem tworzyło niszczycielską mieszankę.

Musiał się opanować.

Spokojna, rozluźniona, panująca nad sytuacją. Marisa nie mogła o sobie powiedzieć żadnej z tych rzeczy. Może z czasem poczuje się mniej... obnażona w towarzystwie Romana, póki co jednak miała się na baczności.

Przyjrzała mu się spod zasłony rzęs. On również ubrał się swobodnie. Czarne dżinsy podkreślały długość jego nóg i muskulaturę ud, a pod rozpiętą skórzaną kurtką miał sweter z cienkiej wełny.

Ogolił się gładko, skrócił też nieco ciemne włosy. Jego doskonałe ostre rysy emanowały męskością i siłą.

Środki przeciwbólowe, jakie zażyła wcześniej, nie pomogły jej na ból głowy. Najwidoczniej migreny, jak i poczucie winy, będą stałym elementem jej życia.

Zmusiła się do uśmiechu.

– Witaj, znalazłeś nas bez problemu.

– Nie było trudno was znaleźć.

Roman nie zdawał się być pod wrażeniem jasnego wnętrza, oryginalnej kamiennej posadzki czy kwiatów posadzonych w okolicy starego paleniska.

Był jednak Bardalesem. Pewnie jego konie mieszkały w większej posiadłości.

– Jakże miło cię widzieć – powiedziała nieszczercze.

Zignorował sarkazm albo go nie zauważył.

– Po prostu wjechałem tu bez przeszkód. – Wyciągnął ręce przed siebie i ostentacyjnie wzruszył ramionami, czekając na wyjaśnienia.

Nie miała pewności, jakiej odpowiedzi od niej oczekiwał. Po drzeniu mięśni szczęk poznała, że jest wściekły, ograniczyła więc odpowiedź do ostrożnego:

– Hm?

– Masz tu w ogóle jakąś ochronę? – Ręką dotknął oryginalnego metalowego klucza do drzwi wejściowych, sugerując, że jej podejście do nowoczesnych środków zabezpieczeń było niewystarczające.

Nie wiedziała, czego się spodziewał. Posterunków straży z wykrywaczami metalu? Psów obronnych?

– Ochrony, w sensie...? – Wyraz jego twarzy spowodował, że pospieszyła z wyjaśnieniami, zanim wybuchł. – Cóż, nic szczególnego, ale mamy bardzo dobry system alarmowy. Ma tylko pięć lat.

– Dziesięciolecie by się tu włamał.

Zacisnęła usta, słysząc pogardę w jego głosie.

– Cóż, firma ubezpieczeniowa była zadowolona. – Polecili jej tylko, by całą biżuterię trzymała w skrytce bankowej. Nie było to dla niej problemem, bo nie wyobrażała sobie, by miała kiedyś założyć ozdoby z epoki wiktoriańskiej, które odziedziczyła po Rupercie. – Nie ma tu niczego szczególnie wartościowego. – Rupertową kolekcję malarstwa współczesnego wypożyczyła pełnej wdzięczności galerii. Nie były w jej guście. Zastąpiła je eklektyczną mieszanką dzieł lokalnych artystów, pozbawioną większej wartości.

– A nasz syn?

Otworzyła szeroko oczy, a wszelki kolor błyskawicznie zniknął z jej twarzy za wyjątkiem dwóch czerwonych plam na kościach policzkowych.

Trzęsa się z wściekłości. Jak on śmiał sugerować, że nie dba o syna? Oddychając głęboko, wbiła weń płonące spojrzenie. Skrzyżowała ramiona na piersi, próbując zachować kontrolę nad emocjami.

– Więc wydaje ci się, że najlepszym sposobem na zawarcie porozumienia między nami jest rzucanie oskarżeniami zaraz po przekroczeniu progu? Jesteś tu gościem. Nie muszę się ci tłumaczyć. Dbalam o Jamiego przez cztery i pół roku... – Podświadomie położyła dłoń na brzuchu. – A w zasadzie jeszcze dłużej. Jest dla mnie wszystkim, od kiedy się dowiedziałam, że będę go mieć. Zrobiłabym... – nagle urwała. – Dlaczego, do diabła, ci się spowiadam? – wymamrotała częściowo do samej siebie.

Nie dodała: „dlaczego spowiadam się komuś, kogo tu nie było i kto nawet nie chciał dziecka?”, chociaż chciała. Wyraźnie wyczytał pogardę w jej wzroku, bo rozłożył ręce w uspokajającym geście.

– Może nieco przesadziłem.

Częściowo udobruchana niespodziewanym wycofaniem się Romana, zaśmiała się nerwowo.

– Zaczniemy od początku? – zasugerował.

Spróbowала się rozluźnić.

– Wiem, że to musi być trudne dla ciebie... – zaczęła, a on błyskawicznie wszedł jej w słowo.

– Nie potrzebuję twojego współczucia.

Wciągnęła ze świstem powietrze, posyłając mu wrogie spojrzenie. Pychę i lekceważenie miał wymalowane na swych szlachetnych rysach.

– W porządku. Możesz zatem założyć, że go nie masz. – Jej oczy błysnęły złotym ogniem, zanim przykryła je ochronnym płaszczkiem wyuczonego spokoju. – Dla porządku dodam, że to bardzo spokojna okolica. Jamie nigdy nie jest sam. Jeśli mnie z nim nie ma, to towarzyszy mu niania.

Chciał wytknąć, że niania szczególnie się nadaje do obrony przed gangiem porywaczy, ale zachował tę uwagę dla siebie.

– Mamy naprawdę dobry system alarmowy w posiadłości. Chcę jednak, by Jamie miał jak najbardziej normalne dzieciństwo. Jest tu bezpieczny.

Widziała, jak walczy ze sobą, by nie rzucić kolejnej kąśliwej uwagi. Byłoby to nawet zabawne, gdyby nie była tak zestresowana.

– Nie zamierzałem sugerować... – zaczął.

– Ale zasugerowałeś – przerwała mu beznamiętnym głosem, włożywszy ręce do kieszeni spodni. Były tak skrojone, by podkreślać wąską talię, kształtne długie uda i wąskie łydki.

Poczuła ulgę, gdy zdjął z niej swój intensywny wzrok. Wreszcie mogła odetchnąć. Miała tylko nadzieję, że rozmowa dalej stanie się łatwiejsza, bo podtrzymywanie iluzji, że panuje nad sytuacją, było wyczerpujące. Nie. Panuję nad sytuacją, powiedziała sobie w duchu. Choć wiele ją to kosztowało, było konieczne. Jeśli pozwoli Romanowi uwierzyć, że może ją traktować jak popychadło, to momentalnie wykorzysta to przeciwko niej.

– Chcę zobaczyć syna.

Patrzył za nią, jakby oczekiwał, że Jamie zaraz się pojawi.

– Jest w ogrodzie – odparła ze spokojem, którego nie odczuwała. – Chcę najpierw ustalić kilka podstawowych zasad.

Na jego twarzy odmalowało się oburzenie.

– Śmiesz mi... – Niemal widziała, jak zadrżał z wściekłości, przemilczając resztę zdania. Skierował na nią swoje czarne, dzikie

spojrzenie. Roman był niezależny, przywykł, że to on ustala zasady.

Odczekała tak długo, jak tylko była w stanie wytrzymać.

– Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

Mogła to sobie wyobrazić, ale w jego oczach zauważyła przez moment błysk czegoś, co można było uznać za podziw. Krótkie uczucie triumfu wyparowało z niej, gdy zdała sobie sprawę, jak od tej pory będzie wyglądała jej przyszłość.

Boże, jakie to było przygnębiające. Jakoś będzie musiała go zmieścić w życiu swoim i syna. Roman dominował każde otoczenie, w jakim się znalazł.

– Więc jak brzmią twoje zasady? – spytał niskim, pozbawionym emocji głosem.

Bolesne pulsowanie w głowie podsycalo jej zdenerwowanie i frustrację.

– Chciałabym, żebyś nie traktował wszystkiego jak osobistego przytyku, Romanie. Chcę uniknąć trudnej sytuacji. Jamie ma tylko cztery lata, nie chcę, by poczuł się zdezorientowany. Musi cię poznać, zanim mu powiemy, kim jesteś.

Roman odrzucił głowę do tyłu, zupełnie jakby go uderzyła.

– Chronisz go przede mną?

Zupełnie jak jego matka chroniła jego i Ria przed ojcem.

– Musisz być cierpliwy – westchnęła. – Nie możesz oczekiwać, że on po prostu...

– Pokocha mnie.

Nastala chwila pełnej napięcia ciszy.

– Nie to zamierzałam powiedzieć – powiedziała cicho. Przygryzła dolną wargę, co przyciągnęło jego wzrok do jej obfitych ust.

– Chciałam po prostu ostrzec... – Gdy zobaczyła, jak Roman się spina, uniosła obie ręce do góry. – Boże drogi, to jak chodzenie po polu minowym! To byłoby wystarczająco trudne i bez twojego ciągłego obrażania się. Chcę tylko powiedzieć... Pozwolisz mi skończyć?!

Ich spojrzenia się spotkały. Po krótkiej chwili kącik jego ust uniósł się do góry.

– Proszę, mów dalej... – Gestem otwartej dłoni zachęcił ją do kontynuowania.

– Chcę cię po prostu ostrzec, żebyś nie oczekiwał zbyt wiele po pierwszych spotkaniach. Jeszcze nie omówiliśmy, jak zamierzamy rozwiązać tę sytuację, ale nie chcę, żebyś miał nierealistyczne oczekiwania.

– Usiłujesz mnie uprzedzić, żebym nie oczekiwał, że pokocha mnie od pierwszego wejrzenia. Nie jestem idiotą, Mariso.

– Myślę, że powinniśmy to rozegrać powoli.

Mięsień drgnął mu na policzku. Czekał pięć lat, powiedział sobie. Kilka dni nie robi różnicy.

– Zatem za kilka miesięcy...

– Miesiące?!

Marisa spuściła wzrok. Nie widziała sensu, by dalej się kłócić.

– Zobaczmy, jak to się potoczy, zgoda?

Milczenie było lepsze niż dalsza kłótnia. Zdecydowała się zinterpretować jego pochmurną minę jako zgodę.

– Bawi się na dworze. Chodź za mną. – Gestem wskazała na otwarte drzwi po lewej.

Przez ułamek sekundy myślała, że nie zareaguje na zaproszenie. Pozwoliła sobie na niewielkie westchnienie ulgi, gdy się ruszył.

W pełni świadoma jego bliskiej obecności poprowadziła go na tyły domostwa przez pomieszczenie, które było mleczarnią, a teraz służyło za przedpokój. Odciągnęła zasuwkę zamkniętych drzwi stajni prowadzących do ogródka warzywnego, gdzie wyżywirowane ścieżki wiodły między zagonkami z różnorodnymi warzywami, ziołami i owocami, każdy otoczony maleńkim, starannie przyszyżonym żywopłotem z bukszpanu.

– Tutaj jest ogródek Jamiego – powiedziała z dumnym uśmiechem, gdy mijali zagonek wyróżniający się na tle innych brakiem prostych, geometrycznych linii. Zamiast tego kępki kielków wyrastały we wzorach tworzących artystyczne zawijasy, a puste opakowania po nasionach latały na wietrze przywiązane sznurkiem do wbitych w ziemię kijków.

Obróciła głowę, by wyjaśnić Romanowi, jak bardzo Jamie kochał patrzeć, jak rosną rośliny, oraz opowiedzieć o jego fascynacji owadami. Zobaczyła, że Roman uważnie wodzi wzrokiem po zielonych wzorach. Wzruszyła się i szybko spojrzała w inną stronę. Czuła, jakby przerwała coś bardzo ważnego i osobistego.

Gdy po chwili się obróciła, wszelkie ślady tęsknoty i poczucia straty zniknęły z twarzy Romana. Poprawiał właśnie przekrzywioną tabliczkę z koślawo napisanym wyrazem „drzewka”.

– Nazywa brokuły drzewkami – wyjaśniła, gdy podniósł się i wytarł dłonie o nieskazitelnie czarne dżinsy.

Musiała się pilnować, by współczucie nie osłabiło jej gardy. Zbudowała bezpieczne i stabilne życie dla siebie i Jamiego. Malec tyle już wycierpiał. Musi być sposób, by umożliwić Romanowi kontakt z synem, nie burząc ich dotychczasowego życia.

– Gdy był... chory, obiecałam mu ogród. Myślałam, że o tym zapomni, ale – zaśmiała się smutno – nie zapomniał, więc nie składaj mu obietnic, których nie będziesz w stanie dotrzymać.

Roman spochmurniał.

– Ale jesteś subtelna. Za chwilę powiesz mi, że dziecko jest na całe życie, nie tylko od święta. Zatem okłamywanie go jest zakazane czy też pozwalasz na kłamstwo poprzez przemilczanie prawdy?

Patrzył, jak się czerwieni. Trafił w czuły punkt, choć nie dało mu to satysfakcji.

Westchnęła.

– Powiem Jamiemu, że jesteś przyjacielem.

Przymknął oczy, by ukryć swoją reakcję.

– Zatem znowu go okłamiesz. – Przechylił głowę w kpiącym geście. – A może jesteśmy przyjaciółmi?

Kpina zabolą. Marisa wiedziała, że nigdy nie będą przyjaciółmi... i ze złością przyznała przed sobą, że wbrew wszelkiej logice smuci ją to.

Zdarzali się dawni kochankowie, którzy zostawali przyjaciółmi, podejrzewała jednak, że tych ludzi łączyły też inne rzeczy poza seksem. Ona i Roman, jedyne, co mieli ze sobą wspólnego, poza tym, że kiedyś ze sobą spali, to syn. Gdyby nie Jamie, Romana by tu nie było... Wzięła głęboki oddech i przeczesła włosy dłonią.

– Zgodzisz się na to? – spytała.

Wzruszył ramionami i zacisnął zęby.

– A mam wybór?

Obróciła się bez słowa. Dłonią wskazała na furtkę w niskim kamiennym murku otaczającym ogród warzywny.

– Tędy.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Ten fragment lasu był wiosną pokryty przebiśniegami, a później dzwonekami, ale teraz, w środku lata, poszycie było tak gęste i wysokie, że mogło podrapać małego chłopca w krótkich spodenkach.

Krzyk Jamiego „To nie fair” niósł się po całym terenie. Chłopczyk był pięćdziesiąt jardów od niej, po drugiej stronie małego padoku, na którym ustawiono bramki, ale Marisa dostrzegła krew płynącą z rozciętego kolana synka. To nie było zwykłe skaleczenie, przynajmniej w jej przekonaniu.

Spróbowała nie wpaść w panikę. Był taki czas, nawet niezbyt odległy, kiedy na widok zadrapanego kolana urządziłaby prawdziwy dramat; nadal musiała walczyć z matczynym instynktem opiekuńczym, ale była na dobrej drodze.

Zamknięcie Jamiego w miękkim kokonie uczyniłoby jej życie znacznie łatwiejszym, ale rozumiała, że dla niego nie byłoby to dobre, więc przemogła się i pozwalała mu na przepychanki, którymi cieszyli się wszyscy mali chłopcy.

Wewnętrzna walka o stłumienie własnych instynktów na chwilę odwróciła jej uwagę od idącego kilka kroków za nią mężczyzny. Jego stłumiony okrzyk sprawił, że odwróciła głowę akurat w chwili, gdy wyrwało mu się kilka słów w ojczystym języku hiszpańskim. Nie rozumiała, co znaczyły te słowa, ale intonacja nie pozostawiała wątpliwości, że był w szoku.

Ojciec jej dziecka był dla Marisy właściwie obcy, oczywiście poza sypialną, ale czuła instynktownie, że nie chciałby, by ktokolwiek był świadkiem jego słabości.

– Najwyraźniej ma znakomitą koordynację wzrokowo-ruchową – powiedziała, żeby wypełnić ciszę, która aż dzwoniła w uszach, i dać Romanowi czas, by wziął się w garść.

Kiedy wreszcie się odezwał, stało się jasne, że on nie zamierzał okazywać żadnych względów jej wrażliwości.

– A kto to jest, do cholery? – warknął.

Marisa odwróciła głowę i spojrzała na jego twarz, pełną potępienia i rosnącej irytacji.

– Twój syn – odpowiedziała z wymuszonym uśmiechem na jego oskarżające spojrzenie.

– Nie udawaj idiotki, Mariso.

Mocno zacisnęła usta z oburzenia. To ona dwoi się i troi, żeby to było jak najmniej bolesne dla wszystkich, a jego stać tylko na...

Odetchnęła głęboko, żeby się opanować, i potrząsnęła głową. Kilka lśniących jasnych kosmyków wymknęło się z jej końskiego ogona związanego nisko nad szczupłą szyją.

– Nie udaję idiotki. Przypuszczam, że chodzi ci o... – Urwała, bo Roman dosłownie rzucał gromy wzrokiem. – To Ashley.

– A kim jest Ashley? – warknął Roman, nie odrywając wzroku od wysokiego mężczyzny, który kopnął piłkę do jego syna... jego syna! Emocje wezbrały mu w piersi, gdy spojrzał na chłopczyka o nóżkach cienkich jak zapałki, który z radosnym piskiem kopnął piłkę daleko za mężczyznę, a potem uderzył pięścią w powietrze.

– To nie fair, nie byłem gotów! – odkrzyknął młody blondyn.

– Często zostawiasz naszego syna pod opieką swoich gachów?

Zamrugła powiekami z autentycznym zaskoczeniem, które szybko zmieniło się w irytację. Z błyskiem w oczach skrzyżowała ręce na piersi.

– Ashley jest nianią Jamiego. – Uniosła głowę i utkwiała w nim wyzywające spojrzenie. – Ale gdyby nawet był moim gachem, to nie twoja sprawa.

Roman odwrócił się raptownie.

– Nianią?

Roman zdał sobie sprawę, że nie chodzi wyłącznie o to, że jego synek patrzy z zaufaniem i radością na innego mężczyznę. On autentycznie nie mógł znieść myśli, że tamten człowiek mógł być kimś więcej niż tylko pracownikiem Marisy. Przypominał sobie podobne sceny ze swego dzieciństwa, gdy ojciec odwoził ich do domu po kolacji, przesłuchując matkę pełnym pretensji głosem, ponieważ uśmiechnęła się do kelnera. Oskarżał ją, że z nim flirtowała i na pewno przekazała mu swój numer telefonu. On i brat siedzieli z tyłu i słuchali, jak ojciec zwraca się do ich mamy słowami, jakich żaden mężczyzna nie powinien używać wobec kobiety. Pamiętał, jak kopali tył jego fotela, by przestał.

Nie będę takim człowiekiem, pomyślał.

– Nie wiedziałem, że istnieją męskie nianie.

Mógł też dodać, że nianie zwykle nie wyglądały, jakby chodziły codziennie rano na siłownię, żeby się rozgrzać przed pływaniem w morzu.

Marisa zwalczyła impuls, by nadepnąć mu na stopę.

– Nie słyszałeś o równouprawnieniu? – zapytała przesłodzonym głosem, za co posłał jej kolejne ostrzegawcze spojrzenie. – A może sądzisz, że to kobiety mają wyłączne prawa do opieki nad dziećmi?

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Roman stał przy oknie, kiedy otworzyły się drzwi i Jamie wpadł do pokoju z niespożytą energią. Trudno było uwierzyć, że to dziecko pokonało zagrażającą życiu chorobę. Miał już plaster na kolanie i czyste ręce.

Za nim pojawiła się Marisa z tacą, którą ostrożnie postawiła na stole pomiędzy dwiema dużymi, wygodnymi kanapami. Jedną wskazała Romanowi, na drugiej usiadła sama.

Zastanawiał się, czy nie zignorować zaproszenia i nie zająć miejsca obok niej, ale praktyczność wygrała z przekorą. Nawet dochodzący z drugiego końca pokoju zapach jej perfum budził zbyt wiele rozpraszających wspomnień, a poza tym jego żołądek ścisnął głód.

– Chcesz herbatnika, Jamie?

– A mogę dostać dwa?

– Nie. – Dziecko wzruszyło lekko ramionami i skrzywiło się. – Herbaty? – Przesunęła wzrokiem po twarzy Romana.

Wolałby brandy, ale kiwnął głową. Nie mógł oderwać oczu od chłopczyka, zaabsorbowanego bez reszty wpychaniem do buzi herbatnika. Syn, którego sobie wyobrażał, był czystą kartą. Rzeczywistość okazała się całkiem inna. Jamie miał już własną osobowość.

– Jesteś chłopakiem mojej mamy?

Roman szeroko otworzył oczy. Czterolatek zaskoczył go kompletnie.

Marisa zachłysnęła się łykiem herbaty.

– Jamie, nie wolno mówić takich rzeczy!

– Dlaczego? – Zdumienie dziecka było całkiem szczere.

– Właśnie, dlaczego? – Zdumienie malujące się na twarzy Romana było dalekie od szczerości, a kpiący błysk w jego oczach zwróconych na zarumienioną Marisę – nader wymowny.

Kiedy chłopiec wymienił spojrzenia z ojcem, Marisę uderzyło nagle podobieństwo mowy ich ciała. Z bólem serca opuściła wzrok.

– Mama Sama z przedszkola ma chłopaka, a Libby Smith mówi, że jej mama ma dwóch, ale ja jej nie wierzę. Tylko się tak przechwala i zmyśla. Mówi, że umie pływać, a ja wiem, że wcale nie umie.

– A ty umiesz pływać? – zainteresował się Roman.

– Hm... – Spojrzał na matkę. – No, umiem z takimi dmuchanymi rękawkami, ale kopię nogami najmocniej na świecie. Czy mogę następne ciasteczko? Proszę. – Raczka dziecka zawisła nad talerzem. – Czekoladowe?

– Tak – odpowiedziała Marisa, wyraźnie roztargniona. Zadowolony Jamie złapał ciastko, zanim zdążyła zmienić zdanie, po czym wyciągnął z kieszeni samochodzik i zaczął nim jeździć po pokoju, udając warkot silnika.

– Możesz być chłopakiem mojej mamy, jeśli chcesz.

Marisa poczuła na twarzy spojrzenie Romana, ale nie podniosła wzroku, bo wiedziała z góry, że zobaczyłaby w jego oczach szyderstwo i może coś jeszcze...

– Wolałbym Ashleya, ale mama jest dla niego za stara.

– Tak, jest o wiele za stara dla niego – przyznał Roman poważnie.

– A ty ile masz lat?

– Trzydzieści jeden – powiedział Roman, choć czuł się znacznie starszej, słuchając paplaniny malca.

– Ja niedługo będę miał pięć, a umiem już liczyć do dziesięciu po francusku i znam dwie osoby, które poszły do nieba. A ty ile znasz?

– Jamie, pod krzesłem leżą dwa klocki. Idź po nie, proszę, i wrzuć je do pudełka – zwróciła się do syna Marisa.

– Czy on miał na myśli...? – zwrócił się do niej półgłosem pobladły pod opalenizną Roman.

Marisa zrozumiała błysk w jego oczach i kiwnęła twierdząco głową.

– A myślałem, że to ja miałem traumatyczne dzieciństwo! – Zatopiony we własnych myślach Roman nie zwrócił uwagi na wyraz twarzy Marisy. – Mówił o znanych sobie zmarłych tak swobodnie...

– Dzieci, które przeszły przez to co Jamie, pod pewnymi względami szybciej dorastają, ale są zadziwiająco odporne. Czasem bardziej niż dorośli.

Mówiła spokojnie, ale Roman dostrzegł cień w jej oczach. Po raz pierwszy pomyślał o tym, jakim koszmarem musiała być dla niej niepewność, czy jej dziecko przeżyje. Przeszła więcej, niż on w całym życiu, i nagle poczuł się upokorzony jej siłą.

– Czy Jamie wiedział, jak poważna była jego choroba? – zapytał.

– Oni nie okłamują dzieci.

– Nawet kiedy prawda jest... – Potrząsnął głową, wstrząśnięty. – Nie potrafię sobie wyobrazić, jakie to musiało być ciężkie dla was obojga.

Znał swoje dziecko dosłownie od pięciu minut, a już był pewien, że oddałby życie, by oszczędzić mu chwili cierpienia. To nagłe odkrycie sprawiło, że szerzej otworzył oczy. To był dla niego absolutny szok.

Marisa zrobiłaby to samo, pomyślał, ale nie miała takiej opcji; musiała dzień po dniu siedzieć przy dziecku, patrzeć na jego cierpienie i czuć się

kompletnie bezradna. *Dios*, nie mógł sobie nawet wyobrazić tego horroru, przez który przeszli ona i Jamie.

– Przykro mi. – Te słowa wymknęły mu się mimowolnie.

Była zdesperowana – czy nie tak powiedział Rio? Ale Roman nie słuchał rozsądnych argumentów i wyjaśnień. Kierowały nim złość i poczucie zdrady, które nadal go nie opuszczało. Nawet przyznanie przed sobą, że Rio przedstawił mu tylko czyste fakty, doprowadzało go do szału. Marisa była zdesperowana, ale nie aż tak, żeby zwrócić się do niego.

– To nie twoja wina, że Jamie zachorował. – Cichy głos Marisy pozwolił mu oderwać się od niewygodnych myśli i Roman uchwycił się tej szansy jak liny ratunkowej.

– Powinienem być z wami obojgiem.

– Nie wiedziałeś. Powinnam cię zawiadomić, teraz to widzę, ale w tamtym czasie byłam... – Odwróciła głowę, ale zdążył dostrzec błyszczące w jej oczach łzy.

Znowu wróciły do niego słowa Ria. Zdesperowana. Była zdesperowana. Chrząknęła i ponownie zwróciła się w jego stronę.

– Kiedy jesteś w takiej sytuacji, jedynymi ludźmi, którzy potrafią cię zrozumieć, są ci, którzy przez to samo przechodzą. W pewien sposób stają się twoją grupą wsparcia. Żyjesz jakby w bańce i choć dookoła ciebie cały świat kręci się normalnie, to nic nie jest normalne, choćbyś się najbardziej starał... – zamilkła nagle i kiedy ich oczy się spotkały, potrząsnęła lekko głową, zmieszana, jakby po raz pierwszy próbowała wyrazić swoje doznania.

– Nadal utrzymujesz kontakty z innymi rodzicami?

– Z kilkoma. – Jej oczy znowu wypełniły się łzami. Zaczęła szybko mrugać, żeby je powstrzymać.

Roman uważał się za odpornego na kobiece łzy. Zazwyczaj udawał, że ich nie dostrzega. Nigdy dotąd nie musiał walczyć z impulsem, by wziąć kogoś w ramiona i zapewniać, że wszystko będzie dobrze.

– Amy, ona... – Marisa zerknęła na Jamiego, a Roman zauważył z rozbawieniem, że jego synek ściągnął kolejne ciasteczko, kiedy byli zajęci rozmową. – Obie byłyśmy samotnymi matkami, wszystkie inne miały partnerów. – Spostrzegła, że Roman drgnął. – Ja nie chciałam... wiesz... budzić w tobie poczucia winy.

– Wiem. – Było dla niego więcej niż jasne, że Marisa nie uprawiała z nim żadnych gier.

– Właściwie myślę, że Amy i ja miałyśmy szczęście. – Na widok sceptycznie zwężonych oczu Romana pośpiesznie dodała wyjaśnienie: – Zdążyłam się zorientować, że choroba dziecka powoduje napięcie we wzajemnych stosunkach rodziców. Przynajmniej dwie rodziny, które poznałam w czasie leczenia Jamiego, są teraz w trakcie wyjątkowo gorzkiego procesu rozwodowego.

– Może w tych małżeństwach już wcześniej były problemy – zasugerował, splatając palce i zerkając na Jamiego, który wszedł pod stół i radośnie budował wieżę z klocków. – A może większość małżeństw, kiedy zajrzeć pod powierzchnię, to związki toksyczne.

Cynizm Romana sprawił, że Marisa się skrzywiła – najwyraźniej nie miał zbyt dobrego zdania o małżeństwie, co rodziło pytanie, dlaczego kiedyś poprosił ją o rękę.

– Dlaczego... – Nie dokończyła. Odepchnęła od siebie to pytanie w poczuciu, że należało ono do poprzedniego życia.

– Moja matka wróciła do życia, dopiero kiedy uciekła od małżeństwa. – Matka uwolniła się od związku z mężczyzną, który chciał kontrolować

każdy aspekt jej życia; który był zazdrosny o każdego, kto odwracał jej uwagę od niego, włączając w to własnych synów.

A teraz związała się z mężczyzną, który miał już za sobą jedno nieudane małżeństwo. Zmarszczył brwi na myśl o dyrektorze teatru, z którym matka była już od dwóch lat.

Nie obchodziło go, że ten człowiek był o dwanaście lat młodszy od niej; nie obchodziło go, że odniósł sukces, więc nie chodziło mu o jej pieniądze. Matka była teraz szczęśliwą, pewną siebie kobietą, ale Roman nie potrafił się uwolnić od obrazu kobiety, jaką była kiedyś, obawiającej się podejmowania własnych decyzji, ale prezentującej światu osobę szczęśliwą i zadowoloną z życia.

– Dlaczego poprosiłeś, żebym wyszła za ciebie za mąż? – zapytała Marisa.

Powoli przesunął spojrzenie na jej twarz.

– Spodziewasz się, że powiem, że cię kochałem?

Uśmiechnął się z politowaniem nad własną głupotą, która kazała mu wierzyć, że znalazł w końcu bratnią duszę. Trzymała go w niewoli swych złotych oczu, a on gonił nieprzytomnie za tym, czego przez całe życie unikał.

– Nie, ja...

– Miłość potrafi przetrwać w okrutnym świetle dnia. Ale to, co było między nami, to nie była miłość, tylko... przelotne szaleństwo, burza hormonów.

Marisa nie wiedziała, dlaczego tak bardzo zabolą ją sprowadzenie tego, co ich łączyło, do zwierzęcej żądz.

Pisk Jamiego, gdy wieża runęła, rozsypując klocki po całej podłodze, przerwał zakłęcie ponurego wzroku Romana i Marisa uśmiechnęła się do swojego małego chłopczyka.

– On zdaje się czerpać radość z dzieła zniszczenia – skomentował Roman z rozbawieniem.

– Jak prawie każdy chłopiec. Ale jest również dobry. W zeszłym tygodniu jego przedszkole wybrało się do małego zoo. Tak delikatnie obchodził się z kurczętami... – Przerwała i uśmiech zniknął z jej twarzy. – Przepraszam.

– Za co?

– Potrafię zanudzić na śmierć, kiedy mówię o Jamiem.

– Matki są od tego, żeby uważać swoje dzieci za idealne, a ja nie jestem znudzony.

– Czy twoja matka wie o... – Spojrzała na Jamiego.

Roman potrząsnął głową.

– Nie powiedziałem jej. – Możliwe, że powiedział jej Rio, bo jego bliźniak zrobił się ostatnio okropnie gadatliwy. – Zaczekam, aż znowu wyjdzie ze szpitala. – Jeśli jej przekłęty chłopak choć na chwilę zostawi ją samą, pomyślał ponuro.

– Na pewno ucieszyła się na twój widok – powiedziała Marisa.

– Nie dała tego po sobie poznać – przyznał z lekkim uśmiechem, przypominając sobie jej poirytowane: „Nie potrzebuję przyzwoitki, Romanie”.

Zauważył osłupienie Marisy.

– Ona nie należy do cierpliwych pacjentek. I trudno mieć do niej pretensję, ponieważ to ciągnie się już zbyt długo. Pierwszą operację miała w Szwajcarii, po wypadku na nartach, w którym złamała nogę. To było paskudne złamanie. Wstawili jej w kość śrubę, ale powstał jakiś problem i trzeba było operować ponownie.

Marisa mruknęła ze współczuciem, ale nagle jej rysy zamarły w wyrazie ogromnego zaskoczenia.

– Jamie ma babcię.

– Jamie ma również ojca – przypomniał ponuro Roman.

Marisa westchnęła. Miała już dość poczucia winy, które pojawiało się w najmniej spodziewanych momentach.

– Powiem jej o nas, kiedy nie będzie taka podminowana.

Marisa uniosła głowę.

– Nie ma żadnych nas – zawołała i natychmiast tego pożałowała.

– Jesteśmy połączeni przez Jamiego, czy ci się to podoba, czy nie. A skoro już przy tym jesteśmy, to mam dla ciebie propozycję.

Marisa opuściła wzrok. Odetchnęła głęboko, żeby rozjaśnić umysł i wyraz twarzy.

– Słucham.

– Jamie ma nie tylko ojca, ale również hiszpańskie dziedzictwo, o którym nic nie wie.

– Jamie jest Brytyjczykiem.

– Może mieć podwójną tożsamość. Ma dwoje rodziców.

Marisa zeszywniała w oczekiwaniu, dokąd Roman zmierza.

– Chciałbym, żeby przyjechał do Hiszpanii. – Marisa drgnęła gwałtownie, co Roman skomentował ironicznie: – Nie zamierzam ci go odebrać, ty oczywiście też jesteś zaproszona.

– Oczywiście – odparła chłodno. Nie miała ochoty przyznać się do chwili paniki. – Słuchaj, ja nie mogę tak nagle wszystkiego rzucić. – Mocno zacisnęła usta. – Mam wypełniony kalendarz i myślę, że byłoby znacznie lepiej, gdybyś początkowo odwiedzał go tutaj. Mógłbyś zabierać go na spacer albo... – zabrakło jej propozycji, zresztą Roman wszedł jej w słowo.

– Zdajesz sobie sprawę, że ta sytuacja nie pozostanie zbyt długo tylko pomiędzy nami?

Popatrzyła na niego tępym wzrokiem. Rozumiała to, po prostu nie chciała o tym myśleć.

– To nie pozostanie tajemnicą, Mariso. Moja twarz i nazwisko są powszechnie znane i jeśli będę spacerował po ulicy z dzieckiem...

Uniosła rękę, żeby go uciszyć i zastanowić się. W wyobraźni widziała już tytuły tabloidów.

– Lepiej będzie, jeśli sami pokierujemy tą sprawą.

Mówił tak, jakby omawiali wrogie przejęcie, a nie życie ich syna.

– Pokierujemy? – powtórzyła. – Jak można czymś takim pokierować?

– Mamy kontrolę nad przepływem informacji – wyjaśnił. – Ale byłoby to trudne, gdyby jakiś paparazzo z długim obiektywem albo zwykły przechodzień z komórką sfotografował mnie z wózkiem.

– Jamie ma cztery i pół roku. Wózek dziecięcy to absolutna ostateczność.

Uniósł brew.

– Myślę, że wiesz, o czym mówię, ale to prawda, że nie mam pojęcia o dzieciach, więc będziesz musiała mną pokierować.

– Ten sarkazm jest całkiem niepotrzebny – stwierdziła Marisa, która nie miała ochoty na żadną szermierkę słowną.

Walczyła z poczuciem bezradności, ale przegrywała tę bitwę. Obraz najbliższej przyszłości nakreślony przez Romana nie był zbyt zachęcający.

– A jeśli chodzi o ten przepływ informacji – odezwała się cichym, pozbawionym emocji głosem – to masz coś konkretnego na myśli?

– Myślę, że byłoby idealnie, gdybyśmy mieli do dyspozycji miejsce całkowicie bezpieczne, zapewniające prywatność, z dala od ciekawskich oczu, jak, powiedzmy, posiadłość w Hiszpanii.

– Albo więzienie? – podsunęła z goryczą. Nie lubiła, gdy nią manipulowano.

– Słyszałem, że tak ją kiedyś nazywano, ale nie ma tam rygli w drzwiach.

– Wszystko dla bezpieczeństwa – mruknęła ponuro.

– Słuchaj, dlaczego nie potraktować tego jako wakacji? Pozwól, bym poznał swojego syna, bym mu pokazał jego korzenie. Wszyscy powinniśmy wiedzieć, skąd pochodzimy.

Podniosła na niego oczy, w których widoczna była jej walka wewnętrzna.

– Myślę, że w zaistniałej sytuacji jesteś mi to winna – stwierdził, nie wahając się wykorzystać jej słabości, by postawić na swoim.

Szczupłe ramiona Marisy opadły, jakby przytłoczone zbyt wielkim ciężarem. Przesunęła językiem po wyschniętych wargach.

– Trzy tygodnie.

– Umowa stoi. Zorganizuję przelot i podam ci szczegóły.

– Nie.

Uśmiechnęła się ze spokojną determinacją, na co zareagował zmarszczeniem czoła z frustracji.

– Nie zawracaj sobie tym głowy. Sama dotrę na lotnisko i dam ci znać, który lot wybierzemy i o której wylądujemy. Byłoby dobrze, gdyby ktoś odebrał nas z lotniska.

Obserwowała zmianę wyrazu jego twarzy, w ciągu paru sekund przeszedł od zaskoczenia, przez irytację, do niemal cynicznego rozbawienia.

– Jesteś pewna, Mariso? Możesz wylądować na prywatnym lotnisku, bez tłumów, kolejek, zbędnej zwłoki...?

Tym razem to okazała rozbawienie.

– Brzmi atrakcyjnie, ale wolę nie być związana cudzymi planami.

Pochylił głowę na znak, że przyjął to do wiadomości, po czym powoli, eleganckim płynnym ruchem wstał z sofy.

Równocześnie spojrzeli na Jamiego, który zwinął się w kłębek i błyskawicznie zapadł w sen z kciukiem w buzi.

– Widziałem tylko raz, jak to samo zrobił szczeniak.

– Nie musisz szeptać, nie obudzi się. – Mimo tego zapewnienia ściszyła głos, oglądając się przez ramię. – Nie odprowadzę cię do wyjścia, dobrze? Zabiorę go do jego pokoju.

Roman ruszył do drzwi. Położył już rękę na klamce, gdy zatrzymał go delikatny głos. Odwrócił się i dech mu zaparło. Wiedział, że nie była świadoma, jak teraz wygląda – ze śpiącym dzieckiem w ramionach. Jej srebrzyste włosy rozświetlały promienie słońca. Przesunął głodnym spojrzeniem po delikatnej twarzy, która nie potrzebowała kosmetyków dla podkreślenia krystalicznie czystego piękna. Urok jej powściągliwego uśmiechu uderzył go jak cios obuchem i wyzwolił falę tęsknoty, której nie był w stanie odeprzeć.

Przez dłuższą chwilę stali, patrząc na siebie, owładnięci niewypowiedzianymi emocjami, aż nagle Roman usłyszał padające z jego własnych ust słowa, które zaskoczyły go w tym samym stopniu, co ją.

– Mam syna. – Popatrzył na zarumienioną we śnie buzię dziecka, po czym wrócił spojrzeniem do Marisy. – Nie mogę jeszcze zapewnić, że będę dobrym ojcem. Możemy co najwyżej mieć nadzieję, że go nie skrzywdzę.

– Wiesz, Romanie, gdybym choć przez ułamek sekundy podejrzewała, że będziesz zły dla Jamiego – oświadczyła stanowczo – to walczyłabym kłami i pazurami, by cię nie wpuścić do jego życia.

Roman nie mógł się oprzeć niechcianemu podziwowi, patrząc w jej płonące bursztynowe oczy.

– Więc nie sądzisz, że będę dla niego zły? – Chciałby podzielać jej przekonanie.

– Sprawa jest jeszcze otwarta. – Jej śliczny uśmiech go rozluźnił. – Nie myśl o tym za dużo. Po prostu go kochaj. To powinno wystarczyć.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Odkąd on i Rio odziedziczyli po ojcu rodzinną posiadłość Bardalesów w Hiszpanii, odwiedził ją zaledwie trzy razy, ale tylko raz został tam dłużej niż jedną noc. To tłumaczyłoby osłupienie personelu, kiedy pojawił się niespodziewanie. Nawet powściągliwy zarządca posiadłości wyglądał na wstrząśniętego. Zamiast podać Romanowi rękę, porwał w niedźwiedzie objęcia mężczyznę, którego znał od dziecka.

Nie on jeden wydawał się uradowany jego widokiem, aczkolwiek Roman miał poczucie, że nie zasłużył na takie uczucia, zważywszy, jak długo unikał tego miejsca.

Roman rzadko spał do późna, ale udało mu się zasnąć dopiero koło piątej rano, więc kiedy wreszcie się przebudził i sprawdził, która godzina, wyskoczył z łóżka.

Wsiadł do samochodu i ruszył na lotnisko, a że ruch na drodze był ogromny, denerwował się jeszcze bardziej.

Przedzierał się przez zatłoczoną halę lotniska w kierunku punktu informacyjnego, ale zasłyszany fragment rozmowy sprawił, że stanął jak wryty.

– Samolot z Londynu? Powiedział pan, że stracili kontakt z samolotem z Londynu?

Mężczyzna kiwnął głową.

– Ma pan tam kogoś?

– Rodzinę. – Roman poczuł się tak, jakby lodowata pięść zacisnęła się na jego sercu. Potrząsnął głową. Nie chciał przyjąć do wiadomości, że oni mogli...

– Który to był lot... z Heathrow czy z Gatwick?

Roman patrzył na niego tępo. Jego mózg przestał funkcjonować.

– Tu jesteś. Szukałam cię wszędzie!

Roman odwrócił się na pięcie. Za nim stała Marisa, zmęczona, roztrzęsiona i niewiarygodnie piękna. Z mistrzowską wprawą manewrowała spacerówką, w której spał Jamie.

Nie miała pojęcia, co się zaraz stanie – a Roman jedną ręką objął jej kark, a drugą twarz. Zrozumiała i szeroko otworzyła oczy na sekundę przed pocałunkiem, głębokim i trwającym nieskończoność.

Kiedy dobiegł końca, przyłgnęła do Romana, bo nogi się pod nią ugięły i z trudem łapała oddech.

– Dlaczego, na litość boską, to zrobiłeś? – Starła się nadać głosowi ton słusznego oburzenia, co niezupełnie jej się udało.

Roman wsadził rękę do kieszeni.

– Kontrola lotów straciła kontakt z samolotem z Londynu. Myślałem, że byłeś na jego pokładzie. – Jedno proste zdanie, a wyrażało tyle gwałtownych emocji, jakich jeszcze nie doświadczył i nie chciał już nigdy doświadczyć.

– Och... więc... to dlatego...

– Po prostu ucieszyłem się, że żyjecie.

– Cóż... w takim razie w porządku.

Znowu podniósł rękę do jej twarzy, nie był w stanie się opanować.

Myśli Marisy rwały się, gdy Roman opuszkami palców odsunął kosmyk blond włosów z jej policzka. To był najłżejszy dotyk, ale wystarczył, by

powietrze z sykiem opuściło jej płuca przez rozchylone wargi. Czułość niespodziewanego gestu Romana ścisnęła ją za gardło, a w oczach poczuła piekące łzy.

Kierowana instynktem zbyt silnym, by mu się oprzeć, odwróciła głowę i wtuliła policzek w jego dłoń.

Jamie wymamrotał coś przez sen i to przywróciło ją do przytomności. Poirytowana własną słabością, położyła opiekuńczym gestem rękę na główce syna.

– To już ostatni?

Podniosła wzrok i kiwnęła głową. Bagaż podręczny balansował na rączkach wózka spacerowego.

– Nie mogłam poradzić sobie ze wszystkim. – Odetchnęła głęboko. – Naprawdę teraz żałuję, że nie pojechałam z tobą.

– Tak, powinnaś. – Te kilka straszliwych minut, kiedy myślał, że mógł utracić ich na zawsze, kosztowało go chyba kilka lat życia. – Pozwól, że to wezmę.

– Dzięki. – Ich oczy się spotkały, ale natychmiast odwróciła wzrok.

Bez bagażu podręcznego manewrowanie spacerówką było łatwiejsze, więc mogła dotrzymać kroku długonogiemu Romanowi.

– Wszystko załatwione. Tędy. – Popatrzył na już całkowicie rozbudzonego Jamiego i puścił do niego oko.

Miniaturowa wersja jego własnych oczu rozszerzyła się i po chwili odpowiedziała mrugnięciem. Potem mała rączka zakryła jedno oko i chłopczyk mrugnął znowu, kiedy przechodzili pod arkadą, która ukryła ich przed zasięgiem kamer i prowadziła na podziemny parking.

Mężczyzna w uniformie i słuchawkach powitał ich skinieniem głowy.

– Mogę dostać ciasteczko? – rozległ się cienki głosik.

– Od dawna nie śpisz? – zawołała Marisa. Denerwowała się, jak Jamie zareaguje, kiedy obudzi się w nieznanym miejscu i zobaczy Romana, ale synek był wyraźnie rozluźniony i rozglądał się dookoła z zainteresowaniem.

– Wcale nie spałem. – Uśmiechnął się od ucha do ucha i dodał: – Tylko moje oczka odpoczywały.

Marisa się roześmiała.

Słuchający tej wymiany zdań Roman poczuł się jak intruz; tych dwoje łączył związek, z którego on był wykluczony.

Usłyszał słowa Marisy.

– Powiedz Romanowi „cześć”, kochanie...

Roman przykucnął obok wózka, ale chłopczyk zamiast odpowiedzieć na jego „cześć”, dotknął policzka Romana i na twarzy mężczyzny pojawił się taki wyraz, że Marisa odwróciła wzrok.

– Zapuszczasz brodę?

– Niecelowo.

Marisa słyszała w jego głosie uśmiech i po jej ciele przebiegł dreszcz, bo z najdalszych zakamarków jej mózgu wypłynęło na powierzchnię dalekie wspomnienie. Leżeli w skołtunionej pościeli, ich spocone ciała stygły, wciągała w nozdrza ciepły, piżmowy męski zapach jego ciała.

– Jak dorosnę, też będę miał taką brodę i też będę wysoki.

To stanowcze oświadczenie synka raptownie przywróciło Marisę do rzeczywistości.

– To zabrzmiało jak plan na przyszłość – stwierdził Roman.

– Więc mogę? – zapytał Jamie.

– Co możesz?

– Dostać dwa ciasteczka?

– Później – powiedziała Marisa i zastosowała taktykę dywersji. – Jak myślisz, który samochód jest Romana?

– Ten z naszymi walizkami i stojącym obok policjantem.

Synek, jak się okazało, był bardziej spostrzegawczy od niej. Wzmiankowany samochód był dużym pojazdem z napędem na cztery koła i przyciemnianymi szybami w oknach. Stał jakieś piętnaście metrów od nich, a obok ochroniarz i bagaże.

– Chcę chodzić – powiedział Jamie, naciągając pasy bezpieczeństwa.

Roman zerknął na Marisę, a kiedy kiwnęła głową, ostrożnie rozpiął pas i postawił wiercące się dziecko na nogach.

– Chcę moją torbę.

– Dobrze, ale musisz trzymać mnie za rękę, bo jest ruch na drodze.

Na dziecięcej buzi pojawił się wyraz uporu, aż za dobrze jej znany, i Jamie schował rękę za plecami.

– Ale tu nie ma żadnego...

– Potrzebuję pomocy w ładowaniu walizek do samochodu – odezwał się Roman, zanim Marisa zdążyła coś powiedzieć.

Jamie przez chwilę wpatrywał się w wyciągniętą do niego rękę, a potem słoneczny uśmiech zastąpił wyraz uporu.

– Dobrze... – Popatrzył na matkę. – Mogę?

– Zmykaj.

Marisa patrzyła, jak się oddalają, trzymając się za ręce, i poczuła przypływ uczuć na widok tego wzruszającego obrazu ojca i syna. Część wątpliwości, jakie dręczyły ją przy podejmowaniu decyzji o tym wyjeździe, rozviała się. Ruszyła za nimi, z wysiłkiem tłumiąc emocje, ale ból w sercu pozostał. Jak na kogoś, kto twierdzi, że nie ma doświadczenia z dziećmi, Roman radził sobie bardzo dobrze.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Samochód, w którym się w końcu usadowili, był przestronny i – jak stwierdził Jamie – „ładnie pachniał”.

Nie był to jedyny komentarz, jaki wygłosił, kiedy zostawili za sobą światła miasta. Najwyraźniej miał przypływ świeżych sił, ale w końcu strumień pytań ustał i główka dziecka znowu opadła.

Roman podkreślił klimatyzację po swojej stronie samochodu i błogosławiony powiew świeżego powietrza usunął zapach perfum Marisy.

Kiedy cisza przedłużyła się do pięciu minut, zaryzykował ciche pytanie.

– Zasnął?

Wyczuł, że Marisa spojrzała na niego i kątem oka dostrzegł, że kiwnęła głową.

– Dobrze znosi podróże?

– Nie zawsze – odparła zgodnie z prawdą, z nadzieją, że chwilowe dobre zachowanie Jamiego nie wzbudziło w Romanie fałszywych oczekiwań.

Ale przynajmniej kiedy Jamie nie spał, mogła się koncentrować na nim i jego rozlicznych pytaniach. Teraz, kiedy zasnął, przytulając do siebie żyrafę z oślimi uszami, Marisa nie miała innego wyjścia, jak prowadzić uprzejmą rozmowę z Romanem. Uprzejmą rozmowę nieobejmującą gorącego pocałunku na lotnisku.

Chciałaby przestać o nim myśleć.

Wzrok Romana raz po raz wędrował do wstecznego lusterka, w którym widział śpiącego synka.

– Czy on zawsze zadaje tyle pytań?

Pocałunek nie był dobrym pomysłem. Sprawił, że Roman zdał sobie sprawę z tego, co stracił, i podsycał tylko ból, który tlił się w nim od zawsze.

– Tak, ale nie zawsze tak zasypia. To był jego pierwszy lot samolotem, więc przez całą drogę był bardzo podniecony. Och, to jest...

Wyjrzała przez okno. Przejeżdżali przez bogato zdobioną masywną bramę z kutego żelaza. Domek strażnika przy bramie był oświetlony, ale ponieważ nikogo w nim nie było, zostały zamontowane kamery.

– Tak, jesteśmy już na terenie posiadłości – potwierdził i pobiegł myślami do chwili na lotnisku, gdy pomyślał, że wydarzyło się najgorsze. Może człowiek musi stanąć w obliczu straty, żeby sobie uświadomić, jak bardzo czegoś pragnie?

Wraz z lodowatym przerażeniem pojawiła się jasność. Pozbył się niepewności. Chciał być ojcem Jamiego, najlepszym, jakim tylko mógł być. Jeśli nawali – nie, pomyślał z nietypową dla siebie pokorą – kiedy nawali, Marisa ustawi go do pionu.

Przez dłuższą chwilę przyglądał się delikatnemu profilowi Marisy wyglądającej przez okno. Skręcał się z pożądania. To komplikacja, z którą będzie się musiał w pewnym momencie uporać.

Uświadomił sobie, że jego myśli pobiegły w niebezpieczną stronę, więc położył im tamę. Z wyrazem najwyższej koncentracji na twarzy skierował znowu całą uwagę na drogę, którą znał jak własną kieszeń od czasów, gdy uczył się prowadzić dżipa ogrodnika. Dopóki Rio, kiedy przyszła jego kolej zajęcia miejsca za kierownicą, nie skręcił gwałtownie, by ominąć dzika,

i wylądowali do góry nogami w rowie. Romanowi pozostała po tym wydarzeniu interesująca blizna, Rio wyszedł be szwanku.

Po tym wypadku ojciec zabronił im prowadzenia samochodu i uziemił ich na miesiąc, ale prawdziwą karą było zwolnienie z pracy ogrodnika, którego samochód rozbili, i przypominanie im o losie, jaki go spotkał.

Ten były ogrodnik był obecnie osobistym kierowcą matki Romana, ale wówczas wydawało mu się, że nigdy tego nie przeboleją.

Pozostanie dla niego na zawsze tajemnicą, jak jego umysł przeskoczył z kierowcy matki do palącego pytania, czy on i Marisa mogą mieszkać pod jednym dachem i nie wylądować w jednym łóżku. To pytanie zaległo się w jego mózgu i za nic nie chciało go opuścić.

– Wszystko w porządku? – Marisa usiłowała zajrzeć mu w oczy.

Rzucił jej chmurne spojrzenie.

– Lepiej, żebyś przestała zadawać głupie pytania.

Ponieważ nie odzywała się od dobrych pięciu minut, uznała jego reakcję na próbę nawiązania rozmowy za wysoce niesprawiedliwą. Zastanawiała się, czy nie rzucić mu wyzwania, odrzuciła jednak tę myśl.

Przez następnych dziesięć minut Marisa zachowywała milczenie, jeśli nie liczyć głośno wciąganych oddechów, gdy za zakrętem pojawiał się szczególnie piękny widok. Zaczęła mieć pojęcie o skali posiadłości, gdy wjechali w aleję wysadzaną wysokimi drzewami, która, jak się domyślała, stanowiła ostatni odcinek drogi. Na drzewach były rozmieszczone reflektory, więc miało się wrażenie, jakby samochód jechał tunelem światła. Wtedy wjechali na wzgórze i w polu widzenia pojawił się *castillo*. Marisie zaparło dech w piersi. Podświetlona takimi samymi reflektorami stara, kamienna fasada miała srebrzysty połysk, a z okien padało ciepłe, złociste światło.

Marisa nie spodziewała się czegoś tak imponującego. Przywykła do domu, który wiele osób uważało za wielki, ale ten budynek przekraczał wszystko, co kiedykolwiek widziała. To był zamek w pełnym tego słowa znaczeniu.

Rzuciła ukradkowe spojrzenie na szlachetny profil Romana, na rzeźbione rysy podkreślone jeszcze oświetleniem z zewnątrz. Upomniała się, że chodziło tylko o to, by Jamie mógł poznać swojego ojca.

Przeniosła spojrzenie na fasadę budynku. Zapadający zmrok potęgował jego przytłaczający majestat.

– Czy będzie tu ktoś z twojej rodziny?

Roman na moment odwrócił głowę, ale w zapadającym zmroku nie potrafiła odczytać wyrazu jego twarzy.

– Mało prawdopodobne. Przypuszczam, że brat będzie mnie unikał w przewidywalnej przyszłości.

Przyjęła tę zgryźliwą uwagę za przytyk pod swoim adresem i poruszyła się niespokojnie na skórzanym siedzeniu samochodu. Bliźnięta są ze sobą związane w szczególny sposób i ta więź nie powinna zostać zerwana. Oparła się o poduszki samochodu i poprzysięgła sobie w duchu, że dołoży wszelkich starań, by ją naprawić, choć teraz, kiedy patrzyła na ponury profil Romana, wątpiła, czy mogłaby mieć na niego jakikolwiek wpływ.

Spojrzenie na niego okazało się błędem, bo kiedy już raz to zrobiła, nie mogła przestać. Było w jego rysach coś, co ją pociągało. Przymknęła oczy i wróciła pamięcią do lotniska.

Skonfundowana pomyślała, że przecież nigdy nie potrzebowała męskiego ramienia, na którym mogłaby się wesprzeć. Oczywiście Rupert był przy niej, gdy go potrzebowała, ale jego kondycja sprawiała, że przeważnie to ona jemu udzielała wsparcia, co uważała zresztą za najzupełniej normalne.

Ojciec był jak dziecko udające czasami dorosłego i od najmłodszych lat to ona się nim opiekowała, a nie odwrotnie.

Żwir zazgrzytał pod kołami samochodu, a szum silnika, dotychczas prawie niedosłyszalny, umilkł, gdy się zatrzymali. Nagła cisza sprawiła, że wyraźniejsze stały się wszelkie dźwięki we wnętrzu auta, ich zmieszane oddechy i skrzypienie skórzanej tapicerki. Kiedy Roman otworzył drzwi i z zewnątrz napłynęło świeże wieczorne powietrze, usłyszała również dochodzące z oddali pohukiwanie sowy.

Zwróciła na Romana pytające spojrzenie i znowu nie mogła oderwać od niego wzroku. Skrzywiła się na dźwięk własnego głosu, był jakiś dziwnie zdyszany, desperacki.

– Nie mogę sobie wyobrazić, jak to jest patrzeć na drugiego człowieka i widzieć swoją twarz.

Jedna z ciemnych brwi Romana powędrowała w górę w chwili, gdy sterowane czujnikami ruchu światła na żwirowym dziedzińcu zgasły i we wnętrzu samochodu zapadła głęboka ciemność.

Zesztywniała, kiedy ciszę przerwał głos szorstki jak żwir.

– Wyglądamy może podobnie, ale jesteśmy zupełnie różnymi ludźmi.

Marisa oderwała wzrok od jego ukrytej w cieniu twarzy, tak przerażona własną fascynacją, że nie zastanowiła się nad dziwnym tonem, jakim wygłosił tę uwagę.

Roman patrzył na nią; nie wysiadał z samochodu.

– Jak bardzo jesteście różni? – zapytała, choć chyba знаła odpowiedź, przynajmniej częściowo. Kiedy patrzyła na jego brata, nie czuła mrowienia na skórze, nie łączyła ich żadna niewidzialna nić, nie miała ochoty wdychać zapachu Ria. Natychmiast przecięła te rozważania, gdy uświadomiła sobie ze zgrozą, że zaczyna się pochylać w stronę Romana.

– Ja i Rio? – zapytał, jakby zapomniał, o czym rozmawiali.

– Tak. – Usiadła prosto i wsunęła włosy za uszy. Światła na dziedzińcu, być może na skutek ruchu jakiegoś zwierzęcia, zapaliły się znowu.

– Ludzie mówią, że jestem bardziej podobny do ojca – odparł i jego twarz wykrzywił grymas.

– To źle? – zapytała nieco schrypniętym głosem. Odniosła wrażenie, że Roman żałował, że w ogóle się do niej odezwał.

– Rozbolała mnie głowa – przerwała milczenie. – To był długi dzień. Nadal sądzę, że byłoby lepiej, gdybyś poznawał Jamiego w domu.

Uniósł brew.

– Czyżbyś zapraszała mnie do siebie?

– Boże, nie! – Słowa wymknęły jej się, zanim zdążyła je powstrzymać. – Chciałam powiedzieć...

– Tak? – domagał się odpowiedzi.

Zacisnęła usta i rzuciła mu gniewne spojrzenie. Była zbyt zmęczona, żeby toczyć pojedynki słowne.

– Mógłbyś zabierać go na wycieczki... – Co ja mogłabym obserwować z bezpiecznej odległości i nie byłoby żadnych pocałunków.

– Wycieczki?

– On lubi zoo. – Jej wymyślona naprędce odpowiedź nie zrobiła na Romanie większego wrażenia.

– Dziękuję za tę światłą radę. Sugerujesz, że kilkakrotne wyprawy do zoo to najlepszy sposób poznania syna? Że to zastąpi mi cztery i pół roku jego życia?

Roman chciał, żeby wszystko odbywało się na jego warunkach, a ponieważ ona czuła się winna, to przystała na to w chwili słabości. Twierdził, że była mu coś winna, i miał rację.

– Posłuchaj, mam świadomość, że to nie jest idealne. – Objął wzrokiem dom swoich przodków. – Wiem, że to nie jest miejsce ciepłe i przytulne – przyznał – ale przynajmniej z dala od wścibskich spojrzeń.

Marisa opuściła wzrok. To, być może, główna zaleta tego zamczyska. Samo myślenie o miejscu ciepłym i przytulnym w połączeniu z Romanem było niebezpieczne.

– Nie masz czegoś mniej...

– Mam kilka apartamentów hotelowych w rozmaitych miastach – odparł Roman, spodziewając się zaskoczenia, a nawet dezaprobaty dla stylu życia, który nie cieszył się powszechną akceptacją.

W jego mniemaniu była to najbardziej praktyczna opcja, ale matka postrzegała to jako niemożność zapuszczenia korzeni. Wszyscy, jak twierdziła, potrzebowali domu. Kiedy argumentował, że posiadał dom na plaży tropikalnej i chatę w górach, matka odpowiadała, że najbardziej nawet malownicze miejsce, do którego trzeba wędrować przez pół dnia na piechotę od najbliższej drogi, może być uznane za dom jedynie przez kogoś, kto ucieka.

Nie precyzowała, od czego. I przesadzała. Decyzja, by nie kupować tradycyjnego domu, była podyktowana wyłącznie względami praktycznymi. Po co kupować coś, co stałoby puste przez większą część roku, skoro można mieć luksusowe apartamenty z cateringiem w kilku miastach bez potrzeby zatrudniania służby?

– Mieszkasz w hotelach?

Spotykał się z rozmaitymi reakcjami na swój styl życia, ale nie ze współczuciem, jakie malowało się teraz na jej twarzy.

– A czy ty mieszkałaś w hotelach?

Marisa kiwnęła głową.

– Mieszkalam w wielu rozmaitych miejscach. Mój tata podróżował, a ja wraz z nim. Raz, kiedy zakwestionowano jego kartę kredytową w... – Spostrzegła wyraz troski na twarzy Romana i urwała. – Czasami podróżowaliśmy pierwszą klasą, a czasami... – Cóż, tata był zawsze hojny, nawet kiedy nie miał pieniędzy. Miał również przyjaciół, którzy równie szczerze oferowali mu swoje sofy i podłogi.

– To musiało być... trudne życie.

– Nie dla niego. On widział zawsze jasną stronę życia.

– A ty?

– Nie przejmowałam się, że czasami brakowało nam pieniędzy. Hotele bez wyżywienia były całkiem miłe, choć nie umywały się do takich spełniających na zawołanie każdą zachciankę. – Ale i tak tęskniła zawsze za własnym pokojem z własnymi rzeczami. – Dorastanie tutaj musiało być fajne dla ciebie i twojego brata. – Nie zdawała sobie sprawy, ile tęsknoty zabrzmiało w jej głosie. Wyobraziła sobie dwóch małych chłopców z uciechą odkrywających tajemne komnaty i lochy.

– Bywały fajne chwile.

Dość enigmatyczna odpowiedź, pomyślała.

To, co powiedział o małżeństwie swoich rodziców, i czytelne aluzje, że jego stosunki z ojcem były dość napięte, tłumaczyły sprzeczne emocje malujące się na jego twarzy, zanim zdążył znowu ukryć je pod maską.

– Myślę, że dom to ludzie, a nie miejsce – powiedziała, na wpół do siebie. Jamie był jej domem, a ona jego.

– Proponujesz, że będziesz moim domem? Dachem nad moją głową, portem w czasie burzy...?

Jego sarkazm sprawił, że zalał ją ciemny rumieniec.

– Nie, oczywiście, że nie. Chciałam tylko powiedzieć...

Ironiczny błysk zniknął z jego oczu.

– Nie lubię zostawać zbyt długo w jednym miejscu.

– W takim razie nie możemy bardziej się od siebie różnić – powiedziała cicho. – No, ale ja jestem matką, a dziecko potrzebuje stabilizacji, rutyny... – Urwała, bo dotarło do niej, że choć mówiła o Jamiem, to w rzeczywistości myślała o sobie. To ona za tym tęskniła.

– A ja jestem ojcem – przerwał jej ostro.

Nie mogła zareagować na te szorstkie słowa ani zaprotestować przeciwko jego interpretacji jej uwagi, ponieważ on właściwie wyskoczył z samochodu, jakby chciał uciec od niej jak najdalej. Marisa otworzyła drzwi pasażera, wysiadła z auta ze znacznie mniejszym wdziękiem niż on i niespodziewanie stanęła z nim ramię w ramię, udo w udo.

Mimowolnie zrobiła krok do tyłu i wymamrotała „przepraszam” prosto w jego tors. Odsunęłaby się od niego jeszcze o krok, ale Roman błyskawicznie objął dłońią jej ramię.

Z mocno bijącym sercem uniosła głowę. Usłyszała, że wstrzymał powietrze i w jej piersi eksplodowały nagle tęsknota i pożądanie.

Unieruchomiona w miejscu przez kursujące w jej ciele pożądanie i przez obsydianowe spojrzenie Romana, zadrżała. Kombinacja namiętności i strachu w złocistych oczach Marisy powinny mu kazać się cofnąć, a tymczasem przysunął się jeszcze bliżej, położył rękę w zagłębieniu jej pleców i przylgnął do niej.

Widział moment, w którym poczuła nacisk jego erekcji, jej źrenice rozszerzyły się i gwałtownie wypuściła powietrze.

Z gardłowym pomrukiem pochylił głowę, zbliżył usta do jej pełnych, drżących warg. Krew zawrzała mu w żyłach na myśl o wsunięciu języka do wilgotnego ciepła jej ust.

– Och, co to było?

Zaskoczyła go. Opuścił rękę, którą obejmował ją w pasie. Odwróciła się i wbiła spojrzenie szeroko otwartych, pełnych przerażenia oczu w ciemność nad ich głowami, gdzie przed chwilą przemknął jakiś biały duch, zakłócając ciszę trzepotem skrzydeł.

– Polująca sowa.

– Myślałam, że to duch.

– Tutaj nie ma duchów. Przeszłość odeszła, minęła i wskrzeszanie jej byłoby błędem.

Cóż, nie brzmiało to, jakby mówił o nocnym ptaku, raczej chodziło mu o ich niedoszły pocałunek. Ucieszyła się, że w słabym świetle nie było widać jej rumieńca wstydu.

– Na co czekamy? Na komitet powitalny?

– Nie martw się, o tej porze nie będzie nikogo w pobliżu.

Rozumował, że dla dziecka przyjazd do nowego miejsca będzie mniej stresujący, jeśli nie napotka mnóstwa obcych ludzi, choć musiał przyznać, że Jamie wydawał się wyjątkowo odporny.

– Czy on się obudzi, jeśli go ruszymy? – zapytał.

– Wątpliwe. Jest wykończony. – Wzięła Jamiego na ręce i cicho zamknęła drzwi samochodu. Roman podążał za nimi. Kiedy ich oczy się spotkały, cofnęła się, by zwiększyć dystans między nimi. W ciepłym nocnym powietrzu rozchodził się ciężki, letni zapach lawendy.

– Tędy. – Gestem wskazał Marisie, żeby szła przed nim, i starał się nie zwracać uwagi na jej jędrne pośladki i wspaniałe, smukłe długie nogi.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Hol, jak można się było spodziewać, był ogromny i pusty, ale rzęsiście oświetlony. Marisa zamrugła i rozejrzała się dookoła z prawdziwą przyjemnością.

Masywna boazeria z ciemnego drewna i kamienne mury mogły być przytłaczające, ale jakoś nie były. Wnętrze zostało złagodzone starymi, kolorowymi dywanami z błyszczącą nitką oraz fotografiami krajobrazów rozwieszonymi na ścianach.

– Czy to twoja matka zaplanowała wystrój?

– Moja matka nie była tu od rozwodu. – I z ironicznym półuśmiechem dodał: – Jak mówiłem, jeśli nie liczyć mniej więcej trzydziestu osób służby, będziemy tutaj sami.

Nie była w stanie odwzajemnić jego uśmiechu; ostatnim, czego potrzebowała, było zostać z nim sam na sam. Tym, czego potrzebowała, była przestrzeń.

– Czeka nas tu dużo zwiedzania – powiedziała cicho.

– Pokażę ci wasze pokoje.

Krętymi kamiennymi schodami zaprowadził ją na galerię na piętrze.

– Tam znajduje się mały salonik. – Wskazał głową prawą odnogę długiego korytarza, którego baryłkowate sklepienie było bogato zdobione stiukami. – Wasze pokoje są tutaj. – Skręcił w prawo, w korytarz bliźniaczo podobny do poprzedniego.

– Proszę. – Otworzył drzwi prowadzące do bawialni, ale Marisa nie miała czasu przyjrzeć się jej porządnie, bo Jamie obudził się i zaczął płakać.

Roman trafnie ocenił priorytety i wskazał jej otwarte drzwi.

– Tędy. Jego pokój jest na końcu.

Błyskawicznie udało jej się uspokoić Jamiego, który zasnął, zanim zdążyła odsunąć pościel na łóżku.

Sprawdziła, czy elektroniczna niania stojąca na niskim stoliku została włączona, a potem obejrzała pozostałe pokoje apartamentu gościnnego i na koniec wróciła do bawialni.

Zatrzymała się w progu. Roman stał oparty ramieniem o ścianę i wyglądał przez wielodzielne okno. Odepchnął się od ściany i obrócił w jej stronę.

– Zasnął?

Kiwnęła głową. Nadal stała w progu, jakoś nie miała ochoty wejść.

Zachowujesz się tak, jakby miał się na ciebie rzucić, usłyszała szyderczy głos w głowie.

Istniała jednak przerażająca możliwość, że to ona rzuci się na niego.

– Był taki wykończony, że nie miał siły się ruszać, nawet kiedy wkładałam mu piżamę. Kompletnie się rozsypał.

– Poprosiłem, żeby zostawiono nam coś na kolację.

– Byłeś przewidujący. – Marisa, skrywająca dotychczas twarz za kosmykami włosów, które wysunęły się z koka upiętego na karku, odgarnęła je do tyłu. Starannie zamknęła bramkę oddzielającą pokój dziecinny od bawialni, ale pozostawiła uchylone drzwi. Z zadowoleniem odnotowała, że podobne urządzenie znajdowało się pomiędzy przylegającym do jej sypialni przedpokojem z niewielką, bardzo przydatną wnęką kuchenną a pokojem dziecka, dzięki czemu mogła w nocy zostawić

uchylone drzwi. – Ale właściwie nie jestem głodna. – Jej żołądek wybrał ten moment, żeby zaburzyć donośnie, zdradzając, że skłamała.

Na ustach Marisy pojawił się smętny uśmiech, który objął również jej bursztynowe oczy i natychmiast rozjaśnił twarz, co w pewnym stopniu rozładowało napięcie.

– W porządku, jestem głodna – przyznała, przyciskając rękę do żołądka. – Ale nic mi nie będzie. – W kuchni widziała mnóstwo herbaty i kawy. – Tak naprawdę to nie chcę, żeby Jamie obudził się sam w obcym miejscu. – To miejsce było tak ogromne, że nawet gdyby zaalarmowała ją elektroniczna niania, to dotarcie do dziecka zajęłoby jej mnóstwo czasu.

– Przewidziałem, że tak będzie – odparł spokojnie. – Przyniosę ci jedzenie na tacy.

– Ty przyniesiesz?

Jej zaskoczenie rozbawiło Romana.

– Jestem również znany z tego, że sam zawiązuję sznurowadła. Rozgość się, zaraz wracam – rzucił przez ramię i wyszedł z pokoju.

Tak naprawdę to miała ochotę skorzystać z eleganckiej łazienki z miedzianą wanną, tak dużą, że mogłaby w niej pływać, a przynajmniej zanurzyć się cała.

Wcisnęła na próbę guzik w marmurowej wykładzinie na ścianie i podskoczyła, gdy całe pomieszczenie wypełniła muzyka. Pośpiesznie nacisnęła go znowu i znieruchomiała, przyciskając rękę do ust i nasłuchując z szeroko otwartymi oczami, ale po minucie odprężyła się; Jamie się nie obudził.

Oparła się pokusie wzięcia kąpieli. Rozebrała się, rzucając ubrania tam, gdzie stała, zbyt zmęczona, by się przejmować zmiętą garderobą.

Budynek był stary, ale jego wyposażenie nowoczesne.

Złapała ręcznik ze sterty złożonych porządnie na komodzie i ruszyła pod prysznic. Nie wiedziała, kiedy Roman wróci z jedzeniem, a że nie chciała, by zastał ją w samym ręczniku, to przeznaczyła minimum czasu na rozkoszowanie się ożywczymi kropelkami wody.

Jeszcze mokra i owinięta ręcznikiem, z zaróżowioną skórą mrowiącą po siekących igiełkach wody, wysypała zawartość swej starannie zapakowanej torby na jedwabną narzutę łoża z czterema słupkami. Znalazła czystą bieliznę i dżinsy oraz T-shirt, które zawsze miała w bagażu podręcznym od czasu, gdy jej walizki trafiły na inny kontynent, a ona została nawet bez szczoteczki do zębów.

W gorączkowym pośpiechu dotarła do etapu rozczesywania grzebieniem włosów, gdy usłyszała dźwięk oznaczający powrót Romana.

Sterna leżących na środku łazienki ubrań razila jej poczucie porządku, ale zignorowała ją i zerknęła w lustro, żałując, że zabrakło już czasu na zamaskowanie makijażem cieni pod oczami. Podbiegła do drzwi i wpadła do saloniku bez tchu i na bosaka, z czego nie zdawała sobie nawet sprawy, dopóki Roman nie zainteresował się jej polakierowanymi na różowo paznokciami u nóg.

Ale przynajmniej miała pretekst, żeby nie patrzeć na niego, tylko na własne stopy i tym samym dać sercu szansę na zwolnienie do w miarę znośnego rytmu.

– Śpieszyłam się – powiedziała niewyraźnie i potrząsnęła mokrymi włosami. Kropelki wody rozbryznęły się na wszystkie strony, a Marisa zastanawiała się, dlaczego, u licha, musiała się tłumaczyć.

Roman oderwał wzrok od jej ud w obcisłych dżinsach, starając się ze wszystkich sił nie myśleć o tym, że miała nogi aż do samej szyi. Czarny T-shirt z logo stokrotki był starannie wetknięty w spodnie.

Marisa zauważyła jego spojrzenie, ale zinterpretowała je niewłaściwie i drżącymi palcami dotknęła stokrotki.

– Jamie robił ze mną zakupy i ta mu się spodobała. Reszta moich rzeczy została w samochodzie.

– Ma doskonały gust. – Roman wskazał głową drzwi. – A reszta twoich rzeczy jest tam. Zaniosę je do twojego pokoju.

Spojrzała na stertę walizek przy drzwiach prowadzących na korytarz, a potem przeniosła wzrok na twarz Romana.

– Jak?

– Machnąłem magiczną... – Urwał, bo Marisa chyba nie była w odpowiednim nastroju, żeby docenić jego wymuszony dowcip. – Przyniosłem je, zanim poszedłem po tacę z kolacją.

Był w jej pokoju. Tylko ściana dzieliła go od jej nagiego ciała pod prysznicem... Przełknęła nerwowo.

– Nie słyszałam, że wszedłeś.

– Odpręż się, zostawiłem je przed drzwiami do swojego powrotu. Czekałem, aż pozwolisz mi wejść.

Roman nie powiedział tylko, że otworzył drzwi, ale zamknął je, kiedy usłyszał szum prysznica, ponieważ nie ufał samemu sobie.

Skwitowała tę uwagę słabym uśmiechem i w końcu zebrała się na odwagę, by napotkać jego niepokojąco intensywne spojrzenie.

Dios, wyglądała tak, jakby jedynie upór trzymał ją jeszcze na nogach.

– Usiądź – powiedział i pełen pretensji do siebie patrzył, jak podeszła do jednej z sof. Był tak skoncentrowany na podziwianiu, jak świetnie wyglądała w dżinsach, że nie zauważył jej śmiertelnego zmęczenia. Wyglądała tak, jakby każdy krok wymagał od niej ogromnego wysiłku. – Jesteś zmęczona. Kiedy ostatnio spałaś?

Uniosła głowę.

– Co to? Przesłuchanie?

Roman stał z ramionami skrzyżowanymi na piersi i czekał na odpowiedź. W końcu Marisa westchnęła i uznała się za pokonaną.

– Rzeczywiście jestem zmęczona, ale miałam bardzo dużo na głowie. Tylko nie rób zamieszania. – Wiedziała z doświadczenia, że nawet kiedy wydaje się nam, że nie wytrzymamy ani chwili dłużej, zawsze mamy jeszcze jakieś rezerwy sił.

Pociemniałe od wilgoci końce włosów przyłgnęły do jej szyi. Wsunęła je za uszy, kiedy usiadła na sofie.

– Nie jestem odpowiednio ubrany do kolacji – powiedział nagle Roman, stawiając tacę na stoliczku do kawy pomiędzy dwiema sofami.

Podciągnęła nogi pod siebie i pomyślała, że on nie musiał się przebierać do czegokolwiek. Wyglądał wspaniale we wszystkim, co miał na sobie – albo czego nie miał. Przymknęła oczy w poczuciu winy z powodu tej konstatacji. Po kilku godzinach snu o wiele łatwiej będzie się uporać z tą sytuacją.

– Właściwie nie jestem głodna.

Przewrócił oczami.

– Znowu. Masz zjeść albo nakarmię cię osobiście – zapowiedział z zimnym uśmiechem, który nie objął oczu pełnych ponurej determinacji.

Prychnęła, żeby zademonstrować, że jego groźba nie zrobiła na niej wrażenia, ale znowu zaburczało jej w brzuchu z głodu, ponieważ Roman zdjął pokrywę z półmiska pełnego bardzo apetycznie wyglądających, artystycznie ułożonych kanapek.

– Mogłbym powiedzieć, że wykonałem je osobiście, ale to nieprawda. Natomiast herbata i kawa to dzieło moich własnych rąk. – Wskazał ruchem

głowy dzbanki ustawione na obu końcach tacy i usiadł obok Marisy, zamiast zająć sofę naprzeciw niej, co zdecydowanie by wolała.

Marisa wybrała bezpieczniejszy obiekt zainteresowania, czyli drugi półmisek pełen kunsztownie udekorowanych drobnych ciasteczek, godnych wystawienia w witrynie najwyższej klasy cukierni.

– Jedz!

Buntowniczo zerknęła na niego spod opuszczonych powiek, ale sięgnęła po kanapkę. Jeden kęs wędzonego łososia ze śmietankowym serem pomiędzy kromkami wilgotnego żytniego chleba sprawił, że zapomniała o oporze.

Pochłonęła jeszcze dwie, zanim rozsiadła się z założonymi rękami.

– No i? – mruknęła wyzywająco. – Wystarczy?

Wydał pomruk aprobaty.

– I co teraz? To znaczy, teraz pójdziemy do łóżka... – Parsknął śmiechem, kiedy na jej twarzy odmalował się wyraz przerażenia i czerwona z zażenowania szybko dodała sprostowanie: – To znaczy, pójdziemy do łóżka, ale nie razem... Chciałam powiedzieć...

– Wiem, co chciałaś powiedzieć, a odpowiedź brzmi: co będzie później, to zależy od ciebie. Przypuszczam, że jutro Jamie będzie jeszcze zmęczony po podróży?

– Najprawdopodobniej będzie piekielnie nieznośny. Zwykle robię wszystko, żeby trzymać się codziennej rutyny.

– Czyli?

– Kiedy nie jest w przedszkolu, to zwykle po śniadaniu pozwalam mu obejrzeć jedną z kreskówek. – Ta opcja, jak przypuszczała, tutaj nie będzie dostępna. – Potem Ash albo ja zabieramy go na spacer. – Odwracanie kawałka spróchniałego drewna leżącego na ziemi i obserwowanie wszystkich pełzających stworzeń, jakie się pod nim kryły, potrafiło

zafascynować Jamiego nawet na kilka godzin. Popołudnia zależą od jego sił i humoru.

– Wspomniał, że lubi pływać. Mamy krytą pływalnię i kompleks gimnastyczny.

– No, jasne – mruknęła, próbując zignorować jego ramię wyciągnięte na oparciu sofy.

– Basen jest podgrzewany, jeśli uważasz, że tak będzie lepiej dla niego.

– Czy nie wydaje ci się, że to rozrzutność? Utrzymywać tutaj to wszystko, choć nikt z tego nie korzysta? – Poza tuzinami niewidzialnej służby, którą niewątpliwie pozna następnego dnia.

– Rio i ja nie spodziewaliśmy się odziedziczyć tej posiadłości. – Zerknął na nią, a potem wrócił do kontemplowania własnych splecionych palców. – Ojciec zawsze groził nam wydziedziczeniem i obaj sądziliśmy, że spełni groźbę, ale w końcu zostawił nam to miejsce. Myślę, że spodziewał się naszego niepowodzenia, ale też nigdy nie starał się nas nauczyć prowadzenia jego imperium. Był okropnym sukinsynem, ale w jego rękach wszystko zmieniało się w złoto. Nie liczyło się dla niego to, że nasza porażka będzie oznaczała pozbawienie wielu rodzin środków do życia.

– To brzmi, jakby on... – Zabrakło jej słów, by wyrazić oburzenie. Nie mieściło jej się w głowie, że rodzic mógł tak krzywdzić własne dziecko, igrać z jego emocjami.

– Jeśli szukasz odpowiedniej etykiety, to on mieści się w kategorii złośliwych narcyzów. – Głos Romana był dziwnie pozbawiony emocji. – Był mistrzem manipulacji. I stawał się strasznie mściwy, ilekroć poczuł się zagrożony jakąkolwiek decyzją, jaką podejmowała bez niego matka. Uważał to za atak personalny i odpowiadał lekceważeniem jej, poniżaniem i podkopywaniem jej pewności siebie, aż wreszcie stała się całkowicie zależna od niego. Był toksyczny...

– Ograniczenie wolności – mruknęła, przypominając sobie artykuł na ten temat.

Uniósł brwi.

– Tak, wydaje mi się, że to właściwe określenie.

– Ale twoja matka uciekła.

– Tak, uciekła od jego miłości, ale ona jest wyjątkowo silną kobietą. Nie każda miałaby tyle szczęścia.

Czy on zdawał sobie sprawę, co powiedział? Dla Romana miłość była czymś, przed czym się uciekało, pułapką. Wydało jej się to strasznie smutne. Podejrzewała, że jej oszustwo odegrało pewną rolę w utrwaleniu jego poglądów na tę sprawę.

Walcząc z przypływem poczucia winy, uświadomiła sobie niejasno, że kiedy mówił, odwróciła się ku niemu i siedziała z nim teraz twarzą, nadal na podwiniętych nogach, opierając ramię o oparcie sofy, zupełnie tak samo jak on. Ich palce niemal się stykały.

Powoli, niemal niepostrzeżenie cofnęła ramię i opuściła bose stopy na podłogę.

– Szkoda, że nie ma badania DNA na oznaczenie złego ojca. Niektórzy mężczyźni nie powinni mieć dzieci.

Twarda, bezkompromisowa nuta w jego głosie zmusiła Marisę do ponownego zwrócenia się w jego stronę. Przypomniało jej się jego poprzednie stwierdzenie, że był bardziej podobny do ojca niż brat, i zrozumiała, że w rzeczywistości mówił o sobie, że obawiał się, że mógłby skrzywdzić tych, których kochał. Jak ojciec.

Tysiące obrazów przemknęło jej przez głowę, zanim zaakceptowała prawdę – on naprawdę kochał Jamiego. Roman mógł być najbardziej irytującym, upartym, trudnym do zniesienia człowiekiem, ale nie był potworem.

– Kompletnie nie przypominasz człowieka, którego mi opisałeś. – Dostrzegła w jego twarzy ślad emocji, ich oczy się spotkały i celowo zniżonym głosem dodała ostrożnie, ale zdecydowanie: – Gdybyś taki był, nie byłoby mnie tutaj. Już ci powiedziałam, że gdybym podejrzewała, że mógłbyś skrzywdzić Jamiego, wybudowałabym mur, aby was od siebie odseparować. My z ojcem byliśmy sobie bliscy – wyznała z własnej woli, nie zdając sobie sprawy, jak przy tych słowach złagodniała jej twarz. – Ale byliśmy tylko we dwoje.

– Twoja matka zmarła?

– Matka odeszła wkrótce po urodzeniu mnie – wyjaśniła, jakby od niechcienia, co zabrzmiało w uszach Romana nieco sztucznie. Jakby Marisa nadal nosiła wewnętrzne blizny po odrzuceniu, ale wolałaby umrzeć, niż się do nich przyznać. – Nie podobało jej się bycie matką, ponieważ „tłamsiło to jej radość życia”.

Domyślił się, że cytowała matkę. Te słowa powinny mieć efekt miażdżący, ale twarz Marisy była poważna. Prawda, w jej uśmiechu krył się smutek, ale nie znalazł w niej ani śladu niechęci.

Pomyślał o obszernym pliku zatytułowanym „Marisa Rayner”, który pozostał nieotwarty w jego laptopie.

Po co zamawiać coś, z czego nie robi się użytku? Zamierzał to zrobić, ale po krótkim czasie pomiędzy prośbą o dogłębne sprawdzenie życia Marisy a pojawieniem się raportu w jego skrzynce mejlowej coś się zmieniło.

Przyznał to z niechęcią. Mówił sobie, że był zbyt zajęty, by to przeczytać, albo zbyt zmęczony... W końcu jednak inwencja w wymyślaniu wymówek opuściła go i musiał uznać prawdę: nadal chciał wiedzieć o niej wszystko, ale pragnął, by sama mu o tym powiedziała, z własnej i nieprzymuszonej woli.

– Naprawdę ci to powiedziała?

– Na szczęście nie... – Uśmiechnęła się lekko do niego. W przytłumionym świetle jej oczy przypominały płynne złoto. – Ale przypuszczam, że mogła to powiedzieć – przyznała Marisa, nieświadoma jego zakłopotania. – Ponieważ jednak miałam dwa miesiące, kiedy widziałam ją po raz ostatni, to nie mogę jej pamiętać.

Czy ta żartobliwa odpowiedź miała na celu ukrycie głębokiego zranienia, zastanawiał się Roman, a może Marisa rzeczywiście pogodziła się z tym, że została odrzucona przez matkę?

– Odchodząc, zostawiła list do mnie, który tata miał mi dać do przeczytania, kiedy uzna, że jestem wystarczająco dojrzała. – To nie sam list zranił ją głęboko, a to, co odkryła, kiedy chciała dowiedzieć się czegoś więcej o swojej matce. Mając siedemnaście lat, zastanawiała się, czy mogłyby się z matką zaprzyjaźnić jako dorosłe kobiety. Odnalazła matkę w internecie i odkryła, że kobieta, która nie czuła się na siłach być jej matką, wyszła ponownie za mąż i została matką trojga pasierbów i własnej córki, przyrodniej siostry Marisy.

Nie, one nigdy nie zostaną przyjaciółkami.

Spojrzała na Romana i pomyślała o demonach, do których on chyba nigdy się nie przyzna, nie mówiąc już o tym, by pozwolił sobie pomóc w pozostawieniu przeszłości za sobą. A ona chciała mu pomóc... W oczach Marisy odmalował się szok. Znieruchomiała, wszystko w niej skamieniało na moment, gdy uderzyła ją prawda.

Kochała Romana; kochała go już wtedy, gdy poprosił ją o rękę, ale uciekła przed tą prawdą. Wmawiała sobie, że to tylko pociąg fizyczny, ponieważ rzeczywistość była zbyt bolesna, by przyjąć ją do wiadomości – to, że musiała opuścić jedynego mężczyznę, którego w życiu kochała.

Mężczyznę, który nigdy jej nie wybaczy podwójnego oszustwa. Jeśli nawet ją kiedyś kochał, to sama zabiła tę miłość przed laty.

– Dobrze się czujesz?

– Świetnie – skłamała z wymuszonym uśmiechem. – Kochałam swojego ojca. A on kochał mnie, ale umarł, zostawiając mnie w rozpaczliwej sytuacji. Gdyby nie Rupert, to naprawdę nie wiem, co by się ze mną stało. Ale tak to już jest z nałogowcami, a tata był nałogowym hazardzistą, który kroczył po wąskiej linii oddzielającej legalnego gracza od szulera, choć przeważnie pozostawał po właściwej stronie i nie łamał prawa. On nigdy właściwie nie wydorósł, matka opuściła własne dziecko, ale ja nie jestem podobna do żadnego z nich. To, jacy jesteśmy, nie zależy wyłącznie od DNA i nie można pozwolić, by samo urodzenie definiowało, kim będziemy.

Roman zamknął oczy. Chciałby mieć jej pewność, że jej wiara nigdy nie dozna zawodu.

– Naprawdę w to wierzysz?

Kiwnęła głową.

– Tak, wierzę. – Oderwała plecy od oparcia sofy. – Pozwolisz, że położę się już do łóżka? Jestem bardzo zmęczona.

Bez słowa wstał z sofy.

– Do zobaczenia jutro. Mam nadzieję, że Jamie będzie miał spokojną noc. – Odwrócił się do wyjścia, ale niemal natychmiast zwrócił się znów ku niej. – Powiedziałbym, żebyś zagwizdała, jeśli będziesz czegoś potrzebowała, ale w tym domu nie usłyszałbym wezwania. – Sięgnął po jej komórkę leżącą na stoliczku do kawy i szybko wystukał serię cyfr. – Więc zadzwoń co mnie w razie jakichkolwiek problemów.

– Skąd znasz mój PIN?

– Data urodzenia Jamiego? Powinnaś mieć podwójną ochronę.

Po wyjściu oparł się plecami o ścianę. Żałował, że nie miał żadnej ochrony przeciwko pożądaniu, jakie budziła w nim Marisa.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Marisa była w sypialni i wieszała swoje rzeczy w przepastnej szafie, kiedy usłyszała pukanie. Mocniej zawiązała pasek szlafroka i przeszła obok Jamiego, nadal w piżamie, pochylonego nad stoliczkiem do kawy, na którym leżały książeczki do kolorowania i kredki.

Wzięła głęboki oddech i otworzyła drzwi. Pomimo głębokiego zawodu zdołała uśmiechnąć się do młodej kobiety z schludnym uniformie.

– *Buenos dias, señora.*

– *Buenos dias.*

– Chcę tylko zapytać, czy podać pani śniadanie tutaj, czy zje pani w pokoju śniadaniowym z señorem Romanem.

– Jestem głodny, mamó!

– Dobrze, mój wielkouchy – rzuciła, odwracając się do synka. – Tutaj, jeśli to nie problem.

– A na co señora ma ochotę?

– Proszę o kawę, sok i tost. I przydałyby się jakieś owoce.

– I jajecznicą – dobiegł głos Jamiego.

– *Si, señora.* – Pokojówka dygnęła i odeszła szybko.

– Czy umyłeś już zęby?

– Tak – powiedział i zakrył ręką usta.

Wargi Marisy drgnęły.

– To idź umyć je jeszcze raz, proszę. Widzę, że znalazłeś ubranka, które naszykowałam ci na łóżku, ale czy umyłś buzię?

– Oczywiście, że tak. – Jamie był wyraźnie urażony.

Marisa zdążyła już otworzyć drzwi prowadzące na balkon, na którym znajdował się stół z krzeselkami, więc można było wygodnie podziwiać wspaniały widok na zielone wypielegnowane trawniki i dalekie góry.

– Proszę wejść – zawołała, nie odwracając się do drzwi. – I zanieść to na balkon. Poranek jest taki piękny.

– *Si, señora.*

O mało nie przewróciła się z wrażenia.

– Roman! – Jej serce zabiło szybciej na widok wysokiego mężczyzny ubranego z niedbałą elegancją i nie zdradzającego żadnych oznak wczorajszych dramatycznych przeżyć. – Myślałam, że to...

– Maria. – Błysnął uśmiechem, który przypominał jej, z jaką łatwością przychodziło mu zawsze oczarowanie jej, jeśli mu na tym zależało. – Łatwo nas pomylić. Wielokrotnie słyszałem, że jesteśmy łudząco podobni.

Wargi Romana drgnęły, kiedy Marisa jeszcze mocniej zacisnęła pasek szlafroka, nie zdołała jednak go wydłużyć, a odsłaniał większą część jej smukłych, zgrabnych nóg, na które patrzył z niekłamaną przyjemnością. Jej widok, takiej rozczochranej, prosto z łóżka, był uroczy. Wyglądała wspaniale i bardzo jej pragnął.

Istniały dwie opcje: mógł coś z tym zrobić albo nie. Żaden wybór nie wiązał się z konsekwencjami na całe życie. Gdyby wybrał seks, to z całą pewnością czekały go fantastyczne doznania.

Bezsenna noc nie poszła na marne. Po wielogodzinnych rozważaniach doszedł do wniosku, że widział problemy tam, gdzie był po prostu wybór.

Jego życie zmienił Jamie i teraz, kiedy Roman miał czas zastanowić się nad tym poważnie, uświadomił sobie, że syn nie tylko zmienił jego życie,

ale zmienił je na lepsze.

Natomiast matka Jamiego, cóż, ten okręt odpłynął wiele lat temu. Roman był głupi, kiedy się jej oświadczył, i choć początkowo zabrała ze sobą część jego samego i po jej odejściu czuł się jak bez ręki, to potem odbudował jeszcze mocniejsze mury obronne, które stanowiły teraz nieprzebytą barierę.

A nawet gdyby ich nie miał, to musiałby być kompletnym idiotą, żeby pozwolić kobiecie zrobić to sobie po raz drugi.

Marisa przygryzła wargę, żeby ukryć rozbawienie.

– Oczywiście, ty i Maria moglibyście być bliźniętami. – Gwałtownie wciągnęła powietrze, ale to słowo już padło.

– Ja już mam bliźniaka. Znasz go, o ile wiem.

Wrócili więc do tematu, w którym nie mogła wygrać, ale mocno zacisnęła zęby. Istniały pewne granice, miała już dość ciągłego przeproszania.

– Właściwie nie. Widziałam go tylko w sytuacji, gdy wyglądał, jakby się zmagał z wyborem pomiędzy ogniem a rozpaloną patelnią. Myślę, że zdarzają mu się też lepsze chwile.

– Rio uchodzi za znacznie pogodniejszego ode mnie. Najwyraźniej on jest optymistą, a ja przenikliwym myślicielem. – Jego uśmiech nie obejmował oczu, przysłoniętych częściowo ciężkimi powiekami.

– Znalazł się napakowany Sokrates.

Nagły wybuch śmiechu Romana rozładował napięcie, zanim osiągnęło masę krytyczną.

– No to chcesz to śniadanie na balkonie?

Kiwnęła głową.

– Chodź, Jamie.

Popychała Jamiego przed sobą na balkon w ślad za wysokim mężczyzną, który stawiał ich śniadanie na stoliku z kutego żelaza.

– Podoba mi się tutaj – oświadczył Jamie.

– Tak, kochanie?

– Cieszę się, że mu się tu podoba. Pewnego dnia to będzie należało do niego, przynajmniej w połowie. Spodziewam się, że drugą połowę odziedziczą dzieci Ria. – Roześmiał się na widok szeroko otartych oczu Marisy. – Ty naprawdę o tym nie myślałaś, prawda?

– Nie bądź głupi – powiedziała, kiedy otrząsnęła się z szoku. – Jestem kobietą, która wyszła za umierającego człowieka dla pieniędzy, każdy ci to powie. – Usłyszała gorycz we własnym głosie i skrzywiła się. Ta akurat rana jeszcze się nie zagoiła, choć lubiła tak sądzić.

Roman zapomniał, że sam dokładnie tak o niej myślał, i zapragnął zetrzeć cień smutku z jej twarzy i rozgromić tych, przez których się pojawił.

– Ktoś, kto naprawdę się liczy?

To pytanie zmyło jej wybuch gniewnego resentymentu.

– Dziękuję. Wiem, że nie powinnam się tym przejmować, ale ta historia zaczęła krążyć, kiedy odkryłam, że jestem w ciąży, i to był podwójny cios. Ale kiedy stało się dla wszystkich oczywiste, że spodziewam się dziecka, to w ciągu jednej nocy zmieniłam się w samotną, dzielną wdowę.

Spojrzała na Jamiego, który ignorował ich rozmowę i pałaszował śniadanie, i na jej twarzy pojawił się uśmiech. Jego wilczy apetyt zawsze ją uszczęśliwiał.

– Ma zdrowy apetyt.

Kiwnęła głową.

– Bardzo długo w ogóle nie miał apetytu i dosłownie nikł w oczach – powiedziała cicho.

– Podobnie jak ty, jeśli nie zaczniesz jeść. Ale przyszedłem zapytać, czy nie miałabyś ochoty na zwiedzanie zamku za mniej więcej godzinę.

– Miałabym, ale Jamie jest na nogach od piątej rano. – Co przynajmniej pozwoliło jej rozkoszować się do woli prawdziwą kąpielą w wannie.

– Co oznacza, że ty również jesteś na nogach od piątej.

Wzruszyła ramionami.

– Za godzinę będzie się już śłaniał na nogach. Będzie pragnął drzemki. – Dostrzegła rozczarowanie na twarzy Romana, więc ku własnemu zaskoczeniu zaproponowała: – A może po południu?

– Dobrze, a może w międzyczasie proponuję ci zwiedzanie dla dorosłych? Na pewno bez Jamiego obejdziemy znacznie większy teren.

Marisa zesztywniała. Nie chciała być bez Jamiego. Obecność dziecka stanowiła jej tarczę, ochronę przed uczuciami, których nie chciała zdradzić przed Romanem.

– Przykro mi – powiedziała, w niezbyt przekonujący sposób udając żal, i sięgnęła po owoc z tacy. – Nie mogę go zostawić. – Ugryzła soczystą brzoskwinę i z przepaszającym grymasem zlizwała sok z brody.

– Możesz. – W myślach kosztował brzoskwiniowej słodyczy z jej ust, co tak podniosło mu temperaturę, że z wdzięcznością powitał chłodny powiew wiatru. – Maria, którą miałaś już okazję poznać, chętnie go popilnuje. Jako najstarsza z siedmiorga rodzeństwa jest więcej niż wykwalifikowana. Na własne oczy widziałem, jak bez kropli potu trzymała w ryzach kilku rozbrykanych braci. Ta dziewczyna to prawdziwy fenomen.

– W takim razie marnuje się, nosząc tace.

– W przyszłym roku odchodzi, będzie się kształciła na opiekunkę do dzieci. – Rzucił tę informację jakby od niechcienia, ale był to argument decydujący. – Więc...?

– W porządku. – Nie była to entuzjastyczna akceptacja, ale zdawał się tego nie zauważać.

Po jego wyjściu Marisa pocieszała się tym, że nie będzie to długi obchód. Poza tym przecież nie planowali kolacji przy świecach.

Myliła się – to trwało bardzo, bardzo długo.

Poprzedniego wieczora nie doceniła rozmiarów budynku ani liczby zatrudnionych w nim osób. Poza pokojami prywatnymi i licznymi pomieszczeniami wielkości sal bankietowych oraz wieloma apartamentami sypialnymi były części robocze; nie tylko kompleks kuchenny z lodówkami i zamrażarkami, ale również liczne pomieszczenia pomocnicze, biura mieszczące całą armię ludzi zarządzających posiadłością obejmującą kilka tysięcy hektarów. Posiadłość mogła się poszczycić wieloma rodzajami produkcji, od winnic organicznych poczynając, a na leśnictwie drzewnym kończąc.

Byłaby zainteresowana, ponieważ Roman był bardzo dobrze poinformowanym przewodnikiem. Był jednak Romanem, a Marisa nie miała przy sobie Jamiego, za którym mogłaby się skryć.

Podjeżdżała, że ten w pełni uzasadniony strach zdradzały jej oczy i gesty, że każdym słowem przyznawała się do głębi swych uczuć, dlatego była sztywna i odpowiadała monosylabami, co spotykało się z niejednym zaskoczonym spojrzeniem.

Jedno natomiast wzbudziło jej zaciekawienie, kiedy przemierzali niekończącą się sieć pokoi i korytarzy. Napotkany personel, szczególnie ci ludzie, którzy znali Romana od dziecka, okazywali mu ogromną sympatię, ewidentnie odwzajemnianą przez Romana, jeśli sądzić po tym, jak rozluźniony był w ich obecności.

Po obu stronach był widoczny szacunek i sympatia, a Roman, jak na kogoś, kto deklarował niechęć do tej posiadłości, zadziwiająco dużo wiedział o jej funkcjonowaniu.

Spenetrowali zaledwie część zamku, kiedy Roman wyprowadził Marisę na zewnątrz. Po chłodzie panującym w grubych murach gorące słońce uderzyło ją jak ściana, więc była zadowolona, że włożyła tego dnia sukienkę na cienkich ramiączkach. Ucieszyła się również, że grubo posmarowała odsłonięte części ciała kremem z filtrem przeciwsłonecznym. Idący przy niej Roman zdawał się nie zauważać upału.

– Musisz potrzebować armii ogrodników.

– Kilku, ale dzisiaj są nieobecni. Mamy tu lokalny pokaz ogrodniczy, więc ulotnili się masowo. Tędy na korty tenisowe.

Dostrzegła zielen między drzewami w kierunku wskazanym przez Romana. Odrzuciła pomysł, że to potrwa najwyżej pół godziny, kiedy wspomniał o odwiedzeniu oddalonego zaledwie o pół mili gaju oliwnego, który zaopatrywał posiadłość we własną oliwę przez okrągły rok.

– Chciałabyś zobaczyć basen?

Oderwała wzrok od jego imponująco długich rzęs.

– Nie, wystarczy. Na pewno masz ważne sprawy do załatwienia. Już i tak byłeś tak dobry, że poświęciłeś mi dużo czasu... – Zamilkła pod jego nieruchomym spojrzeniem.

– Ja rzadko jestem dobry, *mi vida*. – Na jego twarz powoli wypłynął drapieżny uśmiech, który przyprawił ją o dreszcz.

– Chciałam tylko powiedzieć...

– Tędy... – Położył dłoń między łopatkami Marisy i jego oczy pociemniały, gdy poczuł jej ciepłą, nakremowaną skórę.

Ten lekki dotyk podziałał na nią jak porażenie prądem, przeszył ją dreszcz, nad którym nie miała kontroli, protest, który już miała na ustach,

zamarł.

– Zimno ci?

– Nie. – Gdyby straciła jego dłoń, przyznałaby się do swej nieopanowanej reakcji na jego dotyk, nie miała więc wyjścia, musiała znosić tę torturę.

Szansa na ucieczkę pojawiła się w końcu nie w postaci przemyślanej taktyki, a spontanicznej reakcji na widok ogromnego odkrytego basenu.

Roman z uśmiechem obserwował jej dziecinny entuzjazm, kontrastujący ze spokojną elegancją jaką demonstrowała w miejscach publicznych. W tym momencie wyglądała jak beztroska nastolatka.

Balansowała na samej krawędzi, obejmując wzrokiem wszystko dokoła. I nie chodziło tylko o wielkość basenu; raczej o to, jak idealnie, niemal organicznie został wpisany w otaczający krajobraz. Wzdłuż jednego z dłuższych boków pod serią arkad stały kamienne ławy i donice z palmami; wzdłuż drugiego rosła bujna roślinność, wśród zieleni pojawiały się kolorowe plamy egzotycznych kwiatów. Pod wodospadem spływającym z artystycznie uformowanych skał znajdował się pawilon ogrodowy z terakotowym dachem, osłaniający tapczaniki ze stertami poduszek.

Z tym aspektem życia milionerów nie miała problemu! Zrzuciła z nóg sandały i przesunęła palcami stóp po otaczających basen marmurowych płytach z różowymi żyłkami. Sam basen, jakby w kontraście, wyglądał tak, jakby został wykuty w litej skale.

– Czy to są trzciny? – zawołała, odwracając głowę, po czym znowu zwróciła zaintrygowane spojrzenie na rosnące w wodzie rośliny.

– Stanowią naturalny filtr, ponieważ w tej wodzie nie ma żadnych chemikaliów.

– Mogłabym tutaj rozbić obóz. – Jej dziecięcy entuzjazm był zaraźliwy.

Marisa zamknęła oczy podrażnione słońcem odbitym od tafli wody.

Są takie chwile w życiu, które na zawsze zapisują się w pamięci człowieka, pomyślał Roman, i to była właśnie jedna z nich. Nigdy nie zapomni widoku Marisy, smukłej i gibkiej, upozowanej na brzegu basenu, z głową odrzuconą do tyłu, zamkniętymi oczami i twarzą wystawioną do słońca.

– Wyglądasz jak nimfa. Ciągnie cię do wody?

Odwróciła się, osłoniła ręką oczy i znowu popatrzyła na basen.

– Szkoda, że nie włożyłam kostiumu kąpielowego – przyznała, wpatrując się w głąb turkusowej wody.

Roman podszedł do niej.

– Nie potrzebujesz kostiumu.

Potrząsnęła głową, zaszokowana.

– Przecież chcesz – kusił, wsuwając palec pod górny guzik koszuli.

– Nie zrobisz tego. – Marisa roześmiała się lekko, choć oczywiście wiedziała, że robi.

Rozpiął kolejny guzik, potem następny.

– Nie musisz patrzeć – rzucił kpiąco.

Musiała. Stała tam, z zaschniętym gardłem, zakrywając ręką usta, i nie mogła oderwać wzroku od guzików, które powoli ustępowały, jeden za drugim. Rozchylona koszula odsłaniała złocisty tors i płaski, umięśniony brzuch.

– Roman... ty... ktoś może zobaczyć! – To był już tylko ochrypły szept.

– To byłoby takie okropne?

– Przestań. Ja... – Zrobiła krok do tyłu, potem jeszcze jeden i... jego ostrzegawczy okrzyk zlał się w jedno z pluskiem, kiedy tyłem wpadła do wody. Woda stłumiła krzyk zaskoczonej Marisy, poszła na dno jak kamień, odbiła się i wyskoczyła na powierzchnię jak korek, plując i kaszląc.

Roman parsknął śmiechem, kiedy się zorientował, że nic jej się nie stało.

Marisa odgarnęła z zalanej wodą twarzy mokre włosy i skierowała nienawistne spojrzenie na tego potwora bez serca, który stał nad nią, suchy i nieskazitelny, i ryczał ze śmiechu.

– Uważasz, że to zabawne? – wychrypiała. – Ty... ty... – Zaniosła się znowu kaszlem, ale szybko doszła do siebie i obu rękami ze złością uderzyła w wodę, żeby oblać Romana. Ale wywołała tylko kolejną salwę śmiechu, bo tylko kilka kropli dotarło do jego idealnie skrojonych płóciennych spodni.

Z determinacją zacisnęła zęby, odwróciła się na plecy i uderzyła w wodę nogami tak energicznie, że znowu poszła pod wodę.

Kiedy wynurzyła się na powierzchnię, Roman dalej stał w tym samym miejscu, suchy jak pieprz, z rękami w kieszeniach.

– Przepraszam – powiedział bez najmniejszej skruchy.

Marisa uśmiechnęła się i z wdziękiem podpłynęła bliżej, lekko tylko marszcząc ramionami wodę. Uśmiech zniknął z twarzy Romana, kiedy zafascynowany obserwował zbliżającą się Marisę. W wodzie była równie nieskazitelnie elegancka jak na lądzie.

Marisa podpłynęła do brzegu basenu i zadarła głowę, żeby spojrzeć na wysoką postać stojącego nad nią mężczyzny.

– Pewnie musiałam wyglądać okropnie zabawnie. – Wyciągnęła rękę, odsuwając zwisające ramięczko sukienki plażowej, która unosiła się wokół niej w wodzie jak dzwon. – Podasz mi rękę?

Kiedy się pochylił i wyciągnął długie palce, żeby objąć jej nadgarstek i wyciągnąć ją na brzeg, Marisa nabrała powietrza i zanurzyła się głęboko, po czym odbiła się stopą od dna. Kiedy wyskoczyła na powierzchnię,

wyciągnęła rękę i złapała jego nadgarstek, a potem znowu wpadła do wody i mocno szarpnęła.

Zaskoczony Roman stracił równowagę. Zdołał jednak jakimś cudem odwrócić się i zanurkować w idealnym stylu, po czym wynurzył się kilka stóp dalej.

– Ty mała...

Dostrzegła mściwy błysk w jego oczach.

– Nie! – zawołała, wyciągając rękę i potrząsając głową.

– Tak... – Błysnął w uśmiechu białymi zębami. – Myślę, że tak...

Odwróciła się z piskiem i zaczęła płynąć w przeciwną stronę. Ubranie krępowało jej ruchy, ale i tak gładko ślizgała się w wodzie. Była szybka, ale nie dość szybka, bo nie doścignął jej w kilka sekund.

Złapał jej łydkę i zanurzył się wraz z nią. Poszła pod wodę, wijąc się i skręcając jak wydra, żeby się uwolnić. Wyglądała jak syrena, jasne włosy unosiły się wokół jej twarzy jak jakieś egzotyczne wodorosty.

Kiedy wypłynęli na powierzchnię, Roman obejmował ją w pasie i trzymał tuż przy sobie, przytuloną plecami do jego torsu.

– Poddajesz się? – szepnął jej do ucha.

– Tak. – Zwiotczała w jego objęciach.

W momencie gdy zwolnił uścisk, wyślizgnęła mu się i odpłynęła spory kawałek, zanim się odwróciła, poruszając w wodzie rozłożonymi rękami, by utrzymać się na powierzchni, i zaśmiała się triumfalnie.

Roman, którego twarz ociekała wodą, a ciemne włosy oblepiły głowę, nie odwzajemnił uśmiechu. Pod jego intensywnym spojrzeniem jej uśmiech zbladł, iskierki rozbawienia zniknęły z oczu, a serce zaczęło mocniej bić z mieszaniny podniecenia i trwogi. Czekala, aż kilkoma silnymi ruchami ramion pokona dzielący ich dystans.

– Roman. – Jej usta poruszały się, ale serce waliło tak głośno, że nie usłyszała swojego zdyszanego szeptu.

Ich oczy się spotkały i już się nie rozdzieliły.

Owładnięta pożądaniem patrzyła, jak Roman wyciąga rękę, przesuwa nią po jej włosach i obejmuje tył jej głowy.

Bez oporu uniosła twarz, muskając nosem jego nos. To już nie była zabawa, to była nieodparta potrzeba, taka sama jak potrzeba oddychania.

Przyjęła jego pocałunek z poczuciem, że robi coś właściwego. Z pomrukiem otoczyła go w pasie nogami, jakby chciała się zakotwiczyć przy jego ciele i oddała mu pocałunek z namiętnością dorównującą jego pragnieniu. Pocałunek pochłonął ją tak, że nie zdawała sobie sprawy, że oboje poszli pod wodę, dopóki jej płuca nie zaczęły krzyczeć o tlen, wtedy zaczęli równocześnie poruszać nogami, żeby wynurzyć się na powierzchnię. Rozdzielili się i zachłannie wciągnęli do płuc powietrze. Roman podpłynął do brzegu basenu. Marisa dotrzymywała mu kroku.

Płynnym ruchem wyszedł na brzeg; przez mokry materiał koszuli widać było grę silnych mięśni jego ramion i pleców.

Marisa zaczekała, aż poda jej rękę i wyciągnie ją na brzeg, jakby nic nie ważyła. Stała obok niego.

– Ro... – Zamknął jej usta pocałunkiem, natarczywym i głodnym.

Bez najmniejszego oporu odwzajemniła pocałunek, poddając się namiętności krążącej w jej żyłach. Otoczyła jego szyję ramionami, gdy wziął ją na ręce, zaniósł do pawilonu i położył na jednym z tapczanów, zrzucając poduszki na ziemię.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Marisa odnosiła wrażenie, jakby nadal unosiła się w wodzie, choć przecież leżała na tapczanie i z mocno bijącym sercem obserwowała, jak Roman walczył, by uwolnić się od przemoczonych ubrań.

Najpierw zrzucił koszulę i jego mokra skóra zaślniła w słońcu jak czyste złoto. Był piękny. Patrzyła jak zahipnotyzowana, ale w jej głowie rozległ się jednak cichutki głos rozsądku.

– Ktoś może nas zobaczyć... – wymamrotała, ale z ulgą stwierdziła, że zignorował to całkowicie, rozpiął suwak spodni i pozbył się ich. Chwilę później stał przed nią nagi, ogarnęła ją tęsknota niemal nie do zniesienia. Uniosła się na łokciu, w jej gardle wibrował pomruk pożądania.

Z niemal dzikim błyskiem w oczach upadł na kolana przy tapczanie i objął rękami jej twarz. Marisa opadła na plecy i przyjęła pocałunek, przesuając rękami po jego ciele. Jej palce obrysowywały krawędzie mięśni jego silnych ramion i pleców, przesuwały się po brzuchu i niżej. Roman gwałtownie wciągnął powietrze, gdy objęła ręką jego twardą, rozpaloną męskość.

Roman zaklął, niebezpiecznie bliski utraty kontroli nad sobą. Usiadł na piętach, złapał jej ręce i unieruchomił je nad jej głową.

Przemoczona plażówka Marisy nie stawiała oporu i z głuchym pluśnięciem upadła na ziemię. Jego gorący wzrok niemal sprawił, że woda wyparowała ze skóry Marisy, kiedy przesuwał spojrzeniem po jej smukłym, gibkim ciele.

– Myślę, że bez tego będzie ci wygodniej – szepnął ochryple, zsuwając z jej gładkiego ramienia jedno z cienkich ramiączek stanika.

– Będzie mi wygodniej, jak poczuję cię w sobie – westchnęła.

Hebanowe oczy Romana załśniły w odpowiedzi na jej prowokację i drżącymi rękami starał się pozbyć resztek tego, co przeszkadzało mu spełnić jej życzenie.

Zdjęcie stanika trwało całe wieki. Przemoczony biustonosz przylgnął do niej jak druga skóra, materiał stał się całkiem przezroczysty i podkreślał sterczące sutki.

– Jesteś taka piękna! – mruknął, kiedy mógł wreszcie objąć wygłodniałym spojrzeniem jej obnażone ciało. Wyciągnął się przy niej na wąskiej leżance, a potem przesunął się nad nią, wspierając się na łokciach. Całował ją niemal żarłocznie, rozsuwając jednocześnie kolanami jej nogi.

Marisa czuła narastający żar, jej ciało było wilgotne i pełne oczekiwania, kiedy wszedł w nią jednym powolnym, wymierzonym pchnięciem.

Głęboki pomruk wibrował w jego piersi, gdy zacisnęła się wokół niego. Zacisnął zęby i wpatrując się z zachwytem w jej zarumienioną, podnieconą twarz zaczął poruszać się w niej, zwiększając stopniowo prędkość.

Osiągnęli orgazm tak intensywny, tak gwałtowny, tak słodki, że Marisa niemal straciła przytomność. Kiedy wróciła na ziemię, jej głowa była wciśnięta w zagłębienie jego szyi, a nogi mocno obejmowały go w pasie.

Powoli jej mózg zaczynał funkcjonować, wracał rozsądek, a wraz z nim samoświadomość.

Nagle poczuła się straszliwie bezbronna. Rozplotła nogi, odsunęła się i leżała sztywna i nieruchoma u jego boku.

Roman zakrył oczy przedramieniem. Nie miała pojęcia, co sobie myślał.

Żałował, że odsunęła się od niego. Zniknęło poczucie ciepła, a w jego miejsce zaczął się wkradać chłód, choć na dworze było trzydzieści stopni w cieniu. Walczył z irracjonalnym impulsem, by przyciągnąć ją ponownie do siebie, i próbował odseparować się od emocjonalnych skutków tego, co między nimi zaszło.

Poduszki, na których leżał, poruszyły się, gdy Marisa wstała. Wsparł się na łokciu i zdążył rzucić okiem na jej wąskie plecy i jędrne pośladki, których wypukłość podkreślała długość smukłych nóg. Poczuł, jak jego zaspokojone ciało ponownie ogarnia pożądanie. Marisa wsunęła przez głowę sukienkę plażową i wszystkie jej smukłe krągłości zniknęły pod luźnymi fałdami materiału.

Sięgnęła po lekko rozdarty stanik i majtki, po czym wyjęła z nich wodę. Schowała bieliznę do jednej z głębokich kieszeni sukienki i rozejrzała się za sandałami.

– Co robisz?

Podniosła wzrok, ale nie mogła spojrzeć mu w oczy. Udawała spokój, ale zdradzało ją lekkie drżenie mięśni szczęki i błękitna żyłka pulsująca na skroni.

– To, co widać. Muszę wracać do Jamiego.

– Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że używasz Jamiego jako wymówki, kiedy chcesz uniknąć rozmowy?

Zacisnęła usta i nie odezwała się.

– Zamierzasz udawać, że nic się nie stało? – zapytał, choć jeszcze przed chwilą sam uznał to za swój własny plan działania.

– Jamie jest zawsze na pierwszym miejscu – powiedziała Marisa i odwróciła wzrok, kiedy Roman opuścił nogi z tapczanu, na którym przed chwilą się kochali. Przeraził ją przypływ pożądania na widok jego nagiego ciała.

Tu nie chodziło o to, czego ona chciała, o czym marzyła. Była matką, a nie wystarczy powiedzieć synowi, że go kocha – przecież jej własny ojciec również ją kochał. Była zdeterminowana, by zapewnić swojemu dziecku stabilizację, za którą ona sama zawsze tęskniła w dzieciństwie.

Roman był teraz obecny w ich życiu, ale jak długo to potrwa, skoro zorientował się już, co do niego czuła?

– A powinienem mieć problem z tym, że Jamie jest na pierwszym miejscu? Ja czuję to samo – powiedział Roman.

– Ty...? – Urwała i przesunęła spojrzenie z jego silnych ramion w przestrzeń. – Czy możesz coś na siebie włożyć? Nie mogę się skoncentrować, kiedy jesteś... taki. Po prostu się ubierz – zakończyła słabo.

Przerwał wewnętrzną batalię i uśmiechnął się, zadowolony z jej wybuchu.

– Nie bądź taki zadowolony z siebie!

Nie przestając się uśmiechać, podszedł do drewnianej szuflady po drugiej stronie tapczanu. Uniósł pokrywę, pogrzebał chwilę w środku i wyjął parę kąpielówek oraz T-shirt.

– Tutaj są kostiumy kąpielowe – zawołała oskarżycielskim tonem.

Wciągnął podkoszulek przez głowę. Materiał przylgnął do jego wilgotnej skóry, podkreślając muskulaturę brzucha.

– Kilka. – Kiwnął głową.

– Dlaczego przedtem o tym nie wspomniałeś?

– Nie dałaś mi szansy. Wskoczyłaś w pełnym ubraniu.

Nie skomentowała tej wersji wydarzeń.

– Dlaczego wyszłaś za Ruperta? – zapytał niespodziewanie.

Marisa zamarła, zaszokowana tym pytaniem.

– Wiesz dlaczego.

– Wiem, że jest coś, czego mi nie mówisz, ponieważ nie wyszłabyś za mąż dla pieniędzy.

– Długi taty były... – Urwała i westchnęła głęboko, postanowiła powiedzieć mu wszystko. Była pewna, że Rupert nie miałby nic przeciwko temu, by wyznała prawdę ojcu swego dziecka. – Rupert zdawał sobie sprawę, że umiera, kiedy poprosił mnie o rękę, Romanie. Właśnie stracił kochankę, miłość swego życia. Widzisz, Rupert był gejem. Jego partner nie był człowiekiem wolnym. Był żonaty, miał rodzinę. Zmarł nagle. Rupert nie mógł nawet być na jego pogrzebie. Nie miał więc nikogo, kto byłby przy nim w ostatniej chorobie. Myślę, że po śmierci partnera Rupertowi pękło serce, a najbardziej się bał, że w chwili śmierci będzie sam.

– Więc nie był – powiedział Roman miękko.

– Nie. – Potrząsnęła głową. – Nie był, bo zgodziłam się zostać jego żoną, przynajmniej oficjalnie. – Podniosła oczy pełne łez. – Był naprawdę uroczym człowiekiem. Dobrym i troskliwym.

– Byłby dobrym ojcem.

– Ty jesteś ojcem Jamiego.

– Tak, jestem i... myślałem o Jamie. – Ale nie wyłącznie, musiał przyznać, bo przede wszystkim myślał o tym, jak ciała Marisy i jego są idealnie dopasowane. Jak bardzo jej pożałował.

Zduślił poczucie winy z powodu tego, co miał zaproponować. Zdawał sobie sprawę, że wykorzystywał największą słabość Marisy, którą był Jamie.

Jak się nad tym zastanowić, to była pewna ironia w tym, że przez kilka ostatnich lat Marisa była dla niego uosobieniem zdrady. Wydobyła na światło dzienne jego słabość, z której istnienia nie zdawał sobie nawet sprawy.

Wskazał głową stertę rozrzuconych poduszek.

– To było wspaniałe. Mam nadzieję, że przyznasz mi rację.

– Zakładam, że nie prosisz mnie o uznanie dla twojej techniki, Romanie.

– Nie proponuję również małżeństwa.

Szeroko otworzyła oczy.

– Nie przyszło mi to nawet do głowy – zapewniła słabo. – Może byłbyś więc łaskaw wyjaśnić mi, co właściwie proponujesz?

– Żebyśmy zostali... zespołem.

– Zespołem? Mamy jakiś kostium? Trenera? – zakpiła.

Roman zmarszczył brwi.

– Zespół Jamiego, to miałem na myśli. Ponieważ oboje chcemy tego, co dla niego najlepsze... to już chyba ustaliliśmy.

Kiwnęła głową.

– To, co się przed chwilą stało...

– Nie może się powtórzyć – przerwała błyskawicznie.

– Oboje wiemy, że będzie się powtarzało. Prawda? – Popatrzył na nią znacząco.

Marisa odwróciła wzrok.

– Jesteś najlepszą kochanką, jaką miałem w życiu, mamy już wspólnego syna, więc wydaje mi się, że nie będzie dla nas wielkim poświęceniem wspólne działanie na rzecz naszego dziecka. To będzie wymagało pewnych uregulowań, ale możemy dzielić czas pomiędzy Anglię i Hiszpanię. I myślę, że wyłączość jest oczywista...

Jego zdolność do przedstawiania oburzających spraw jako czegoś najnormalniejszego w świecie sprawiła, że Marisie na chwilę zaparło dech w piersi. W końcu jednak odzyskała głos.

– Pozwól, że ujmę to wprost. Proponujesz mi wyłączny dostęp do twojego ciała w zamian za zgodę na udział w życiu Jamiego?

– To pewne uproszenie, ale zasadniczo tak. Nie masz rodziny ani sieci wsparcia.

– Więc chcesz być moją rodziną, ale jednocześnie zachować wolność. Chcesz chodzić ze mną do łóżka, ale nie chcesz chodzić ze mną na randki – zarzuciła mu gniewnie.

– Chcesz iść na randkę?

– W tej akurat chwili chcę... – Popatrzyła na zmysłowy wykrój jego ust i Roman przysunął się natychmiast.

– Możesz mieć wszystko, czego zapragniesz – zapewnił.

Ale nie miłość, pomyślała ze smutkiem. Nie miłość.

– Chcę być tatą Jamiego.

– Wiem, ale... Co będzie, jeśli spotkasz kogoś, kto...

– Nie ma sensu martwić się tym na zapas. – Uniósł brew. – Nie powiedziałaś „nie”, więc rozumiem, że o tym pomyślisz.

– W rodzinie liczy się miłość, nie wygoda, Romanie.

– Ja kocham Jamiego.

– Wiem – przyznała i pozwoliła się pocałować.

– To może się udać, Mariso – wyszeptał jej prosto w usta. – Co powiesz? – Kolejny odurzający, przekonujący pocałunek.

– Nie wiem... Może moglibyśmy spróbować? – wymamrotała, niezdolna do jasnego myślenia.

Pocałunek dosłownie zwałił ją z nóg i razem opadli na tapczan.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Minęły trzy tygodnie od dnia, w którym kochali się nad basenem i jak dotąd ich niekonwencjonalna umowa oznaczała, że w garderobie Marisy pojawiło się trochę jego rzeczy, a w łazience były dwie szczoteczki do zębów.

Marisa odnosiła wrażenie, że w jej życiu było teraz więcej pytań niż odpowiedzi. Chwilami budziło się w niej tyle wątpliwości, że pękała jej głowa, ale znikwały, kiedy widziała Jamiego i Romana razem: ich spojrzenia, śmiech, małą rączkę zamkniętą w silnej dłoni.

Zerknęła na telefon, zanim wsunęła go do kieszeni. Roman zabrał Jamiego do stajni, żeby malec mógł dać wybraną przez siebie marchewkę kucykowi, którego pokochał. Spodziewała się ich powrotu już jakiś czas temu, ale nie wrócili, a ją ogarnęła tęsknota.

Jamie pokochał kucyka, ale jeszcze bardziej pokochał ojca. Wczoraj zastała go w gabinecie Romana; siedział obok taty i wiernie naśladował wszystko, co Roman robił. Postanowiła najpierw zajrzeć tam, zanim sprawdzi w stajni.

W gabinecie było pusto, ale przyciągnął ją oprawiony przez Romana rysunek leżący na biurku. Podeszła, żeby przyjrzeć mu się lepiej. Z uśmiechem wzięła go do ręki, ale uderzyła przy tym o brzeg biurka i ekran otwartego laptopa obudził się do życia.

Już miała go zamknąć, kiedy zauważyła, co pojawiło się na ekranie i zamarła.

Godzinę później Roman zmierzał do swego gabinetu, gdy spostrzegł wychodzącą stamtąd Marisę. Wyszła na korytarz, gdy usłyszała kroki zbliżającego się Romana, jej twarz zmieniła się w maskę ponurej determinacji.

– Gdzie jest Jamie? – zapytała.

– Szukałaś mnie? – Spojrzał ponad jej ramieniem w otwarte drzwi, z których się wyłoniła.

Marisa odwróciła się bez słowa i z powrotem weszła do gabinetu.

– Czy powiedziałaś Jamiemu, że jestem jego ojcem? – zapytał.

Potrząsnęła głową i przez chwilę wyglądała na zmieszaną.

– Ale on wie.

Spochmurniała.

– Nie, to niemożliwe.

– Mówię ci, że wie. Jeden z braci Marii zapytał go, czy jestem jego tatą, a on odpowiedział, że tak... Powiedział to tak niedbale, jakby nie było w tym nic niezwykłego. – Roześmiał się z niedowierzaniem i przesunął ręką po włosach. – A my się zastanawialiśmy, kiedy mu o tym powiedzieć. Przypuszczam, że dzieci słyszą więcej, niż nam się wydaje i... – Zmarszczył czoło, gdy zauważył ślady łez na jej bladych policzkach. Zaniepokoił się natychmiast. – Stało się coś złego? Dobrze się czujesz?

Oparła ręce na biodrach i wbiła w niego lodowate spojrzenie.

– Pytałam, gdzie jest Jamie?

Rzeczywiście, stało się coś bardzo złego. Roman nie musiał być psychologiem, żeby to dostrzec.

– Bawi się z braćmi Marii, z dwoma najmłodszymi. Był bardzo przejęty, kiedy zaprosili go do zabawy. Mówią trochę po angielsku, wystarczająco, żeby się z nim porozumieć.

– Musi natychmiast wrócić tutaj.

– Dobrze... – odparł powoli. – Maria powiedziała, że przyprowadzi go w porze lunchu. Szkoda, że nie widziałas jego twarzy, kiedy obserwował tych chłopców, Mariso, zanim zaprosili go do zabawy. W jego spojrzeniu było tyle tęsknoty. Ja zawsze miałem Ria... Czy pomyślałaś kiedyś, że Jamie jest samotny?

Marisa patrzyła na niego nieruchomym wzrokiem.

– Czy słyszałaś, co powiedziałam?

– Po co ten pośpiech? Jest bezpieczny i dobrze się bawi.

– Wracamy do domu.

Oczy mu się zwęziły i choć w ciele nie drgnął żaden mięsień, to jego mowa uległa dramatycznej zmianie. Kiedy się odezwał, jego głos był pozbawiony wyrazu; mówił wolno i starannie dobierał słowa.

– Czy powiesz mi, co się stało?

– O, jestem pewna, że ty powiesz to mnie. W końcu wiesz już o mnie wszystko, prawda, Romanie? – Popatrzyła na niego z najwyższą pogardą i ze sztywno wyprostowanymi plecami podeszła do otwartego laptopa. – Szukałam ciebie i uderzyłam się o brzeg biurka. Laptop się obudził... i możesz sobie wyobrazić moje zaskoczenie, kiedy zobaczyłam swoje nazwisko na pliku PDF na ekranie?

Przeszył go dreszcz, kiedy zaczęła mówić. Z góry wiedział, co powie. *Dios*, zamierzał go skasować, a wtedy... Nie pamiętał już, co odwróciło jego uwagę. Może nieodebrany telefon matki... nadal do niej nie oddzwonił.

– To nie jest tak, jak ci się zdaje, Mariso.

– Czyżbyś chciał powiedzieć, że wysłuchiwałeś, jak uzewnętrzniam się na temat uzależnienia od hazardu mojego ojca i matki, która wykreśliła mnie całkowicie ze swego życia, choć już o tym wszystkim wiedziałeś? –

Głos Marisy załamał się i musiała wziąć głęboki oddech, zanim mogła zaufać sobie na tyle, by mówić dalej. – Pozwoliłeś, bym otworzyła się przed tobą, choć wiedziałeś o wszystkim z najdrobniejszymi szczegółami. W tym pliku są sprawy, o których nawet ja już nie pamiętałam.

Stała tam i chciała, żeby on interweniował, chciała, żeby zaprzeczył. Chciała się mylić. Ale skamieniała twarz Romana mówiła jej, że wcale się nie myliła.

Może i jej nie kochał, ale zaczynała mu wierzyć i szanować to, że był szczery, a tymczasem on przez cały czas manipulował jej emocjami, by dostać to, czego pragnął. Frustracja i strach spowiły ją jak ciemny opar. Oszukiwała się, że łączyło ich coś więcej niż tylko pociąg fizyczny i Jamie, ale pomyliła się.

Rodziło się pytanie: na ile jeszcze paskudnych spraw gotowa była przymknąć oko? Bez ostrzeżenia przed jej oczami przemknął obraz twarzy ojca, jego pełen optymizmu uśmiech, kiedy zawiodło go szczęście, ale był pewien, że fortuna się odwróci. Tylko że ona widziała w jego oczach smutek, bo tak naprawdę sam w to nie wierzył.

Zdała sobie sprawę, że jej głód bezpieczeństwa i ciągłości, głód miłości Romana był równie silny, jak dążenie jej biednego taty, żeby się stać człowiekiem silnym, odnoszącym sukcesy.

Sztywno wyprostowała ramiona i nie zdając sobie nawet sprawy ze swej spokojnej godności, spojrzała w oczy Romana.

– Czy ty masz pojęcie, jak ja się teraz czuję? – powiedziała spokojnie. – Teraz, kiedy wiem, że gdy ja ci się zwierzałam, to ty już to wszystko znałeś? Wiedziałeś o długach taty, które spadły na mnie po jego śmierci, i o ludziach, którzy mi grozili, kiedy nie mogłam oddać im pieniędzy. Wiedziałeś o tym, jak zaproponowali mi umorzenie części należności w zamian za prostytuowanie się. Mnie sypianie z mężczyznami, żeby

spłacić dług, nie wydawało się takim wspaniałym wyjściem. Wiesz, wyraz twojej twarzy jest bardzo wymowny – stwierdziła złośliwie, bo w jej sercu rosnęło poczucie zdrady. – Dostałeś to obrzydlistwo naprawdę dobrze wykonane.

Roman potrząsnął głową, wyglądał raczej na wstrząśniętego niż zaszokowanego, ale Marisa nie pozwoliła, by jego wybitne zdolności aktorskie wywarły na nią wpływ.

– To wszystko jest tutaj, czarno na białym. – Wskazała ekran laptopa. – Moje życie sprowadzone do nagłówków z tabloidów. Może któryś z twoich hollywoodzkich przyjaciół przerobi je na film?

Minęło kilka chwil, zanim Roman był w stanie zaufać sobie na tyle, by się odezwać.

Brudny świat dotknął Marisy, ale ona pozostała nieskalana. Kiedy spłynęła z niego pierwsza fala gniewu, pomyślał, że była najsilniejszą osobą, jaką znał.

– Nie wiedziałem. – Zabrzmiało to w jego własnych uszach żałością. Wyciągnął do niej rękę. Opadła, kiedy Marisa odskoczyła. Jej odrzucenie zabolowało go, jakby ugodziła go nożem.

Ciało Marisy było spięte, każdy mięsień dygotał, naprężony do granic możliwości. Tak bardzo pragnęła pozwolić, by przyciągnął ją do siebie, i udawać, że nic się nie stało. Ze wstydem musiała przyznać, że coś w niej żałowało tej konfrontacji z Romanem.

– Czy wiesz, jak się z tym wszystkim czuję?

Widziała, jak poruszyły się jego nozdrza, gdy gwałtownie wciągnął powietrze, jakby go uderzyła. Ale powiedziała sobie, że nic jej to nie obchodzi. Chciała go zranić, bo on zranił ją. Zawiódł jej zaufanie.

– Nigdy nie powiedziałam nikomu o mamie i jej drugiej rodzinie, nawet tacie. Nigdy się nie dowiedział, że powtórnie wyszła za mąż. Okazuje się,

jak widzisz, że nie odcięła się od macierzyństwa, tylko ode mnie. I żeby uciec ode mnie, wyjechała aż do Ameryki, gdzie założyła rodzinę, o którą dba, piecze ciasteczka na festyny kościelne i zbiera fundusze na lokalną szkołę. Ale znowu opowiadam ci o tym, o czym już wiesz, prawda?

– Tak mi przykro, Mariso. – Romana bolało jej cierpienie. Widział oczami duszy małą dziewczynkę, która musiała żyć z najgorszym odrzuceniem, jakie można sobie wyobrazić, a kiedy dorosła, doświadczyła tego samego znowu. – Gdybym wiedział...

– Nie waż się tak mówić – wycodziła przez zaciśnięte zęby. – I nie waż się zachowywać tak, jakbyś o tym wszystkim nie wiedział. Wiesz o mnie wszystko, czy byłam skłonna ci o tym powiedzieć, czy nie.

– Wiem, że jesteś najdzielniejszą, najlepszą, najserdeczniejszą i najsilniejszą osobą, jaką znam.

I kocham cię, pomyślał rozpaczliwie, bo nagle przestał oszukiwać samego siebie.

Dopóki mógł się oszukiwać i myśleć tylko o chemii, seksie, namietności – o wszystkim, byle nie o miłości – był w stanie wmawiać sobie, że panuje nad sytuacją.

Ludzie przez całe życie szukają miłości, natomiast on jej unikał jako najbardziej niebezpiecznej, destrukcyjnej siły.

Szczerość w jego głosie, gdy wyliczał jej zalety, najwyraźniej jeszcze bardziej rozzłościła Marisę. Wzdrygnęła się z niesmakiem i uniosła rękę, kiedy chciał podbiec do niej z wyciągniętymi ramionami.

– Nie!

Zatrzymał się, opuścił ręce i na jego twarzy odmalował się ból.

Co prawda, nie zrobił tego, o co go podejrzewała, nie przeczytał tego drobiazgowego raportu, ale był zdolny do znacznie gorszych rzeczy

i zdawał sobie z tego sprawę. Nie mógł wywrzeć pozytywnego wpływu na życie Marisy czy Jamiego.

Ojciec nie zamierzał go zranić, co nie zmieniało rezultatu, a on był przecież synem swojego ojca. Taki już jego los, przed którym nie było ucieczki.

Ojciec przytłoczył matkę swą miłością, zamiast dać jej wolność. Roman nie mógł nawet znieść myśli o zgotowaniu czegoś podobnego Marisie i ich synowi. Ale przynajmniej pod jednym względem mógł udowodnić, że nie był taki jak ojciec, że miał świadomość spustoszeń, jakie mógł spowodować.

Jedynym sposobem udowodnienia, jak bardzo kochał Marisę i Jamiego, było pozwolić im odejść.

Wiedział, że będzie musiał to zrobić, zanim wzięły w nim górę egoistyczne instynkty, które kazały mu trzymać ich przy sobie.

– Chyba masz rację, to nie działa – powiedział.

Wiedziała o tym, krzyczała na niego, by to zrozumiał, więc dlaczego kiedy przyznał to, co już wiedziała, poczuła się tak, jakby kopnął ją w brzuch.

– Więc co...?

– Jeśli chcesz wrócić do domu, nie będę cię zatrzymywał.

Wzięła głęboki oddech i przesunęła ręką po oczach, żeby powstrzymać łzy gniewu i upokorzenia. Ten jeden raz wcale nie chciał mieć racji.

To bez znaczenia, że i tak chciała wyjść przez te drzwi. Bez porównania bardziej upokarzające było odkrycie, że szeroko je przed nią otworzono.

– Nie potrzebowałam twojej zgody – palnęła i po chwili dodała z gorzką wyniosłością: – Więc w końcu znudziło ci się ojcostwo.

Coś błysnęło w jego ciemnych oczach, ale błyskawicznie zniknęło.

– Sprawdzę, czy jest miejsce w samolocie – powiedział cicho, głosem bez wyrazu.

Tylko duma powstrzymała ją od przewrócenia się na podłogę po jego wyjściu. W chwili kiedy zniknął, zniknął również jej opór, ale nie miała szansy poszukać ulgi we łzach, ponieważ przybiegł pachnący stajnią Jamie i zażądał, żeby poszła z nim i zobaczyła, jak dobrze potrafił zajmować się koniem.

Castillo jeszcze nigdy nie wydawał się taki pusty.

Roman zamknął się w gabinecie i wpatrywał się w karafkę brandy, choć jego kieliszek był pusty. Wiedział, że alkohol mu nie pomoże. Trzeba było czegoś znacznie więcej, żeby stępić ból.

Kiedy telefon zadzwonił po raz pierwszy, zignorował to. Za drugim razem zamierzał zrobić to samo, ale nagle gwałtownie wciągnął powietrze i sięgnął po irytującą komórkę. A jeśli to Marisa potrzebowała jego pomocy? Dziwne, ile koszmarnych scenariuszy może nakreślić mężczyzna między złapaniem komórki a przyłożeniem jej do ucha.

– Romanie, okropnie trudno się z tobą skontaktować.

– Mama. – Opuścił ramiona.

– Cieszę się, że po tak długiej przerwie poznajesz jeszcze mój głos i zanim to powiesz, sama przyznam, że nie byłam zbyt serdeczna, kiedy widzieliśmy się ostatnio, ale szpital to nie jest miejsce, w którym robię się towarzyską. Chciałam ci powiedzieć, że jestem już w domu po ostatniej, mam nadzieję, operacji. Wszystko poszło dobrze i zamierzam wkrótce odwiedzić swoją wnuczkę. Pomyślałam, że mógłbyś się ze mną spotkać w domu na plaży? Nie masz pojęcia, jaka jestem szczęśliwa, że przynajmniej jeden z was się ustatkował. Zawsze martwiłam się o Ria.

– Dlaczego o Ria? – zapytał Roman, udając zainteresowanie. Sięgnął po karafkę i jednak nalał sobie kieliszek brandy. Nie pomoże, ale z pewnością nie pogorszy też sytuacji.

– Wiem, że to głupota, ale jako dziecko bywał bardzo zaborczy, a kiedy był zły, unosił głowę w taki sposób, że... Ale on oczywiście nie jest podobny do waszego ojca.

Roman głośno odstawił kieliszek, tak energicznie, że alkohol prysnął na wypolerowany blat.

– Rio podobny do ojca? – Chyba się przesłyszał.

– Wiem, to głupie. Każdy z was jest jedyny w swoim rodzaju i zawsze tak było.

– Rio?

– Dobrze się czujesz, Romanie?

– Ludzie zawsze mówili, że to ja jestem podobny do ojca.

W słuchawce rozległ się wesoły śmiech matki.

– Jacy ludzie? – zawołała z kpiną. – Wielkie nieba, mówisz serio? Ty? Ty zupełnie nie przypominasz ojca, jesteś jego przeciwieństwem i dlatego nigdy nie martwiłam się o ciebie tak jak o Ria. Ty jesteś podatny na nastroje i uczuciowy, a twój ojciec był zimny i wyrachowany. Och, mówił bardzo dużo o miłości, ale w rzeczywistości był niezdolny do odczuwania emocji, cały skupiony na kontroli i odwecie. Po ojcu odziedziczyłeś tylko jedno, smykałkę do interesów! Halo? Jesteś tam jeszcze, Romanie?

– Tak, mam, ale muszę już iść.

Podniósł oprawiony w ramki dziecięcy rysunek, zanim dotarła do niego plama rozlanego alkoholu i jego serce wezbrało.

Tęsknił za Marisą.

Tęsknił za ich synem, ale sam był winien tego cierpienia. Uważał, że to szlachetne z jego strony, że postępował właściwie... ale może okazał się tylko tchórzem?

Odesłał ich! Siedział tutaj samotnie, jak męczennik, podczas gdy w rzeczywistości był zwyczajnym głupcem – tchórzem i głupcem.

Ogarnął go nagły spokój. Starł przedramieniem plamę z biurka i odstawił rysunek na miejsce, na sam środek, gdzie było miejsce dla rodziny.

Sięgnął po telefon i zadzwonił do pilota.

– Santiago, muszę cię prosić o przysługę.

Powiedzenie „zachowaj pogodę ducha” zbierało swoje żniwo. Marisa była już wyczerpana po podróży z piekła na prywatne lotnisko, w czasie której Jamie głośno się domagał, żeby zabrali ze sobą do domu kucyka i Romana, niekoniecznie w tej kolejności.

Chciała tylko skulić się gdzieś w kącie i płakać, ale płacz to luksus, na który matki nie zawsze mogą sobie pozwolić.

A teraz, kiedy sądziła, że najgorsze ma już za sobą, lot z jakichś technicznych, niepojętych dla niej względów został odłożony. Ale przynajmniej czekali w luksusowych warunkach, a personel pokładowy zajmował się Jamiem, grając z nim w jakieś gry. Spojrzała na syna, który krzyczał „wygrałem, wygrałem” po starannym obliczeniu sześciu oczek na kostce.

– Przepraszam.

Odwróciła się do stojącego obok pilota.

– Koniec zwłoki? – westchnęła.

– Wszystko działa prawidłowo – uspokoił ją pilot. – Ale jest pewien problem z bagażem. Czy mogłaby pani wyjść na moment na zewnątrz?

– Z bagażem?

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

– Ci urzędnicy potrafią być drobiazgowi.

Nic jej to nie mówiło. Spojrzała na Jamiego.

– Nic mu nie będzie. Osobiście będę go miał na oku.

Poznała wymuskane superauto, zanim jeszcze zobaczyła kierowcę.

– Witaj, Mariso.

Odwróciła się gwałtownie. Jasnoblond włosy rozwiały się wokół jej twarzy. Odsuwanie lśniących kosmyków dałoby jej czas do zastanowienia, gdyby, oczywiście, była zdolna do myślenia. Ale emocje zdominowały wszystko. Czuła tylko dzikie bicie serca i głęboką tęsknotę.

– Lubię, kiedy masz rozpuszczone włosy. – Przesunął pieszczotliwym spojrzeniem po jej jasnych głosach, po czym zatrzymał wzrok na twarzy Marisy, a jego rysy ułożyły się w wyraz bolesnej samotności.

Chrząknęła i odwróciła wzrok. Nie chciała widzieć tego, czego nie było. Musiała stawić czoło światu rzeczywistemu, a nie swoim fantazjom, uroczym, dopóki trwały, ale bardzo bolesnym, kiedy się budziła.

– Co tutaj robisz, Romanie?

Uniosła głowę i dodała w myślach: poza potęgowaniem mojego nieszczęścia. Nie chciała się zakochać, ale się zakochała, i kiedy podniosła wzrok na jego idealnie piękną twarz, nie mogła sobie wyobrazić, że kiedyś nie czuła na jej widok bolesnej tęsknoty.

Z głuchym pomrukiem zacisnęła powieki.

– Nie możesz po prostu odejść i zostawić mnie w spokoju? – poprosiła schrypniętym głosem.

– Nie.

Otworzyła oczy, kiedy wsunął kciuk pod jej podbródek.

– Jeszcze nie. – Ciepłymi ustami dotknął jej warg. – Nigdy – mruknął gardłowo i pocałował ją znowu, tym razem z jakąś zaborczą zaciekleścią.

Zacisnęła dłonie w pięści i walczyła z przypływem pożądania, z pokusą, by się do niego przytulić. Cofnęła się z cichym okrzykiem na ustach. Dwie plamy koloru na jej policzkach podkreślały bladość twarzy, dyszała ciężko jak po przebiegnięciu maratonu.

– O co ci chodzi, Romanie? Bo... – Spojrzała na unieruchomiony odrzutowiec, który metalicznie lśnił w słońcu. – To ty zaaranżowałeś to opóźnienie, prawda?

– Tak. Musiałem z tobą porozmawiać.

Dotknęła swoich ust.

– To nie była rozmowa.

Roman rozciągnął usta w uśmiechu, który nie objął jego ciemnych oczu, desperackich i zdeterminowanych.

– Twoje usta zawsze mnie rozpraszają. *Castillo* był bardzo opustoszały po twoim odjeździe.

Pusty, sterylny, bezpieczny... bardzo bezpieczny – zupełnie jak jego życie. Ludzie uważali go za beztroskiego ryzykanta, kiedy wdrapywał się na niezdobyty szczyt, ale on nie był ryzykantem, był tchórzem, myślał, przejęty nową niechęcią do siebie. To, co teraz miał zrobić, to było prawdziwe ryzyko.

Musiał dać coś z siebie.

Koszt był wysoki, ale musiał jej pokazać, kim był naprawdę.

– Tak, zamówiłem twoje dossier, ale nawet go nie otworzyłem. Nie miałem pojęcia, co w nim jest, dopóki mi nie powiedziałaś.

Oparła ręce na biodrach, ale cały efekt zepsuły łzy płynące jej po policzkach.

– Jechałeś taki kawał drogi, żeby mi o tym powiedzieć? I spodziewasz się, że ci uwierzę?

– Nie, ale tak się składa, że to prawda. – Jego pierś uniosła się w głębokim westchnieniu. Cała jego przyszłość, jego dusza zależały od tego, czy zdoła ją przekonać.

– Zamierzałem usunąć ten plik z komputera, naprawdę.

– Ponieważ nie byłeś zainteresowany trupami w mojej szafie – odparła sucho.

– Jestem zainteresowany wszystkim, co ciebie dotyczy – powiedział szczerze. – Kusilo mnie, żeby zajrzeć do tych materiałów, ale nie zrobiłem tego, bo... chyba chciałem, żebyś sama mi o tym powiedziała, kiedy będziesz gotowa.

– Ponieważ jesteś taki cierpliwy.

Przyjął jej uszczypliwość wzruszeniem ramion.

– Może to świadczy o mojej arogancji, ale pragnąłem, żebyś mi zaufała. – Jego wargi wygięły się w lekkim, pełnym gorzkiego uśmiechu. – *Dios*, to nie jest łatwe.

– A odejście od ciebie jest? – krzyknęła.

– To nie odchodź – rzucił przez zaciśnięte zęby, po czym podjął tym samym podnieconym tonem. – Chciałem, potrzebowałem twojego zaufania. Naprawdę nie wiedziałem o twojej matce i przyrodniej siostrze, dopóki mi nie powiedziałaś. A tak na marginesie, to nie twoja wina, tylko jej, i to ona traci na tym, że w jej życiu nie ma ciebie. Mogę to powiedzieć jako ktoś, kto już raz cię stracił, i choć cieszę się, że miałaś Ruperta, który cię uratował, to żałuję, że to nie ja byłem na jego miejscu, *mi vida*.

Marisa zamrugała, a w jej złocistych oczach pojawiła się niepewność, która dodała mu odwagi.

– Nie wierzę ci. – Ale w jej głosie nie było pewności.

– To prawda, i prawdą jest także, że cię kocham. Jesteś jedyną kobietą na świecie, której to powiedziałem. Ostatnim razem rzuciłaś mi to w twarz i odeszłaś, zostawiając za sobą moje strzępy, których już nigdy nie złożyłem w całość.

Zrobiła krok w jego stronę, uważnie przyglądając się jego twarzy.

– Kochasz mnie...?

– Od pierwszego wejrzenia.

Wyglądała na całkowicie zaszokowaną.

– Zawsze się bałem, że jeśli pozwolę, by mi na kimś zależało, jeśli się w kimś zakocham, to stanę się taki jak on i zniszczę to, co kocham najbardziej.

– Mówisz o ojcu?

Kiwnął głową.

– Gniew, wściekłość, kiedy powiedziałaś, że wyszłaś już za mąż... to było... – Zamknął oczy, ścigną na jego szyi naprężyły się, wyraźnie walczył z przypływem mrocznych wspomnień. – Odszedłem, otoczyłem serce wysokim murem, który ty zburzyłaś, ale dodałem jeszcze kilka stóp dla większej pewności, żeby zamknąć tam nie tylko miłość, ale i gniew. Nie powinienem ci tego mówić.

– Powinieneś o tym mówić – zaprzeczyła Marisa, ujmując jego twarz w kochające dłonie i obdarzyła go łzawym uśmiechem, kiedy otworzył oczy.

– Wierzysz mi?

– Tak. – Ulżyło jej, kiedy to powiedziała. – Kocham cię, Romanie, tak bardzo, że mnie to przeraża, bo czuję się tak, jakbym wchodziła z zawiązanymi oczami na ruchliwą ulicę. – Roześmiała się lekko. – Podobno najlepszym lekarstwem na strachy i tajemnice jest świeże powietrze. Nie możesz dusić wszystkiego w sobie. Ja również – przyznała.

– Jeśli coś stanie się dla ciebie zbyt ciężkie do zniesienia, podziel się tym... podziel się tym ze mną. Jesteś naprawdę niesamowita, wiesz o tym. – Nie był w stanie oprzeć się zaproszeniu jej ust, pocałował ją z czułością graniczącą z uwielbieniem.

– Przyprawiasz mnie o łzy – ostrzegła.

– Jeśli cię kiedykolwiek skrzywdzę, Mariso, to umrę... – jęknął Roman.

– Zupełnie nie jesteś do niego podobny – przerwała mu gwałtownie. – Słyszysz, Romanie Bardalesie? W niczym! Jest zasadnicza różnica pomiędzy pragnieniem chronienia tych, których się kocha, a pragnieniem kontrolowania ich, ponieważ nie wie się, co to miłość. Kochasz naszego syna i wiem, że zawsze będziesz go chronić. Dzięki temu czuję się... bezpieczna. Dzięki tobie czuję się bezpieczna.

– Mariso. – Głos mu się załamał z emocji, przesunął palcem po jej gładkim policzku. – Chcę być dla naszego syna Supermenem.

– On nie potrzebuje superbohatera, potrzebuje po prostu taty. Potrzebuje ciebie. – Popatrzyła na Romana spod rzęs. – Oboje cię potrzebujemy.

– Masz mnie, masz mnie od tamtej chwili w deszczu, gdy spojrzałaś na mnie i cały świat przestał istnieć.

– Ty i Jamie jesteście całym moim światem – szepnęła.

Westchnął z zadowoleniem.

– Chodźmy do domu.

EPILOG

– Dlaczego tu jesteśmy? Zarezerwowałem stół w restauracji na... – Roman podciągnął mankiet czarnego kaszmirowego swetra, który włożył do czarnych dżinsów i spojrzał na zegarek z metalową bransoletką – ...pół godziny temu. – Westchnął. Tylko dla tej restauracji z gwiazdkami Michelina warto było odbyć podróż do tego spokojnego miasta na południowym wybrzeżu.

Zgodził się spełnić zaskakującą prośbę Marisy i spędzić tu weekend, bo zakładał, że to miejsce miało dla niej jakieś specjalne znaczenie, może z dzieciństwa, ale nie – wydawało się jej równie obce jak jemu.

Zagadka pozostała nierozwiązana, ale nie miał nic przeciwko temu.

– Nie jestem odpowiednio ubrany na plażę. – Plaża, wzdłuż której ciągnął się szereg domków plażowych, była kompletnie pusta i nic w tym dziwnego, ponieważ wiał silny wiatr, pogoda była niemal sztormowa. – Piasek wciska się wszędzie.

– Nie marudź – odparła. – Jesteśmy prawie na miejscu. – Przyglądała się pomalowanym na jaskrawe kolory domkom plażowym, wzdłuż których przechodzili i, jak zauważył Roman, liczyła pod nosem. – To jest to! – zawołała.

Potrzaskała głową. Zauważył biegacza na promenadzie i w oddali jakiegoś człowieka wyprowadzającego psa.

– Przywiozłaś mnie do domku na plaży?

To był żart, ale Marisa naprawdę podeszła, żeby zapukać do drzwi cukierkowego drewnianego domku, przy którym stali.

– Mariso!

Potrząsnęła głową, nagle dziwnie zdenerwowana.

– Podziękujesz mi za to, obiecuję – powiedziała takim tonem, jakby chciała przekonać samą siebie. Zapukała, drzwi zostały otwarte natychmiast.

Smukła postać w wielkich okularach przeciwsłonecznych i luźnej bluzie z kapturem skrywającym włosy wyszła i skinęła Marisie głową. Marisa odwróciła się do Romana i spojrzała na niego błagalnie swymi złocistymi oczami.

– Proszę, wejdź do środka, a wszystko zrozumiesz.

Wszedłby nawet w ogień, gdyby go o to poprosiła, więc spełnił jej prośbę bez namysłu. Pochylił się, wchodząc przez drzwi, i usłyszał za sobą zgrzyt klucza przekręcanego w zamku.

– Wrócę po ciebie za pół godziny! – zawołała Marisa przez drzwi.

Rozpoznał już kobietę w bluzie pomimo maskującego przebrania, więc nie był zaskoczony tożsamością osoby, z którą znalazł się sam na sam w domku plażowym.

– Spóźniłeś się – stwierdził, wstając.

– Gdybym wiedział, dokąd idę, w ogóle by mnie tu nie było – odparł Roman, rozglądając się z niesmakiem po wnętrzu domku oświetlonym pojedynczą żarówką zwisającą z sufitu. – Rozumiem, że chodzi o to, abyśmy w ciągu pół godziny wyjaśnili sobie wszelkie nieporozumienia i wyszli stąd jako przyjaciele?

– Na to wygląda – przyznał sucho Rio. – To główna idea. Albo mogę wyrównać rachunki i tym razem powalić cię na ziemię – dodał, pocierając gładko wygoloną szczękę.

– Możesz spróbować – odparł Roman.

Bracia patrzyli na siebie przez chwilę, a potem uśmiechnęli się jednocześnie, zrobili krok naprzód i się objęli.

– Jak sądzisz, która z nich wpadła na ten pomysł? – zapytał Rio. – Gwen czy Marisa?

– Chyba wiem, kiedy nawiązały kontakt, bo parę tygodni temu Marisa wyraźnie miała poczucie winy.

Rio kiwnął głową.

– Tak, u mnie było to samo – przyznał ze śmiechem. – Powiemy im, że ten ich drobny podstęp tak naprawdę wcale nie był potrzebny, bo już się spotkaliśmy, podaliśmy sobie ręce i się pogodziliśmy?

– A może niech myślą, że to one stuknęły nas upartymi łbami i uratowały sytuację?

Rio uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Może rozrzucimy tu trochę rzeczy, żeby to wyglądało autentycznie?

– A tak na marginesie, co to za miejsce?

– Może się okazać, że nasze połówki kupiły ten domek na aukcji internetowej... ale mogło być gorzej – stwierdził Rio.

– Jak to?

– Mogły zostawić nas tutaj na godzinę.

Roman parsknął śmiechem.

– A w międzyczasie, masz te terminy? – zapytał, wyjmując z kieszeni telefon.

– Rozmawiałeś z mamą?

Roman kiwnął głową.

– Zamierza wrócić do *castillo* w tym wielkim dniu i przywiezie ze sobą swojego nowego.

- Wiesz, on naprawdę jest w porządku.
- Skoro ona jest z nim szczęśliwa – powiedział Roman po prostu.
- Wow, ty naprawdę się zmieniłeś... Czy to wpływ Marisy?
- Skoro uzgodniliśmy już miejsce, pozostaje ustalenie daty odpowiadającej nam wszystkim. – Roman rzucił spojrzenie na brata.
- Jeśli o mnie chodzi, to im szybciej, tym lepiej... – Rio zrobił pauzę. – Zanim ciąża Gwen stanie się widoczna.
- Roman szerzej otworzył oczy.
- Moje gratulacje... Chyba nie będzie to wiosenne dziecko?
- Pod koniec... – Rio zamarł. – Ty też?
- Roman z dumą kiwnął głową.
- No, nie ja osobiście. Marisa dowiedziała się w zeszłym tygodniu. Jamie będzie miał brata lub siostrę, albo jedno i drugie, jeśli szczęście nam dopisze.
- Bliźnięta? – Rio zaśmiał się. – To będzie prawdziwie piekielny ślub, bracie, w dobrym tego słowa znaczeniu.
- Mam poczucie, że to będzie piekielne życie, w najlepszym tego słowa znaczeniu – odparł Roman.

Połączony ślub dwóch najbardziej pożądanых kawalerów Europy w imponującej oprawie rodowej posiadłości Bardalesów był nie tylko wydarzeniem towarzyskim. Światowe media miały wyłącznie jedno zastrzeżenie: że nie zostały wpuszczone do środka. Zaproszenia otrzymali nie tylko możni tego świata, ale również większość okolicznych mieszkańców. Dziennikarze pocieszali się myślą, że ktoś przeszmugluje amatorskie nagranie telefonem komórkowym, ktoś da się skusić pokaźnym honorarium.

I dostaną swoją historię.

Dostali jedynie migawkową fotografię przedstawiającą obie szczęśliwe pary siedzące na beli słomy. Światowe media przez cały tydzień snuły spekulacje, kto pstryknął to bukoliczne ujęcie.

Tydzień później Roman, wyciągnięty obok żony na tapczaniku, obserwował Jamiego pluskającego się w nowym dodatku do krajobrazu – dziecięcym baseniku pełnym niezatapialnych zabawek – i czytał na głos artykuł z gazety.

„Wydaje się, że prawda wyszła wreszcie na jaw: zdjęcie weselne zostało zrobione przez słynnego fotografa, sir Roberta Chambersa, który nie potwierdza tej pogłoski, ale ze źródła zbliżonego do niego wiemy...”

Marisa roześmiała się melodyjnie, kładąc opiekuńczym gestem rękę na lekko zaokrąglonym brzuchu.

– Wyobraź sobie tylko... – Roman odsunął jej rękę, pocałował niewielki wzgórek, po czym z powrotem położył na nim rękę Marisy i nakrył dłonią jej palce. – Nasz syn ma talent porównywalny z ikoną świata artystycznego i to w wieku zaledwie czterech lat.

– Prawie pięciu – poprawiła Marisa z uśmiechem.

– Prawie pięciu, ale wyobraź sobie, do czego będzie zdolny w wieku osiemnastu lat.

– Jeśli jest choć trochę podobny do ojca, to będzie łamał serca.

Roman przyciągnął Marisę do siebie.

– Jestem zainteresowany wyłącznie jednym sercem – mruknął ochryple i zaborczym gestem objął ręką jej lewą pierś. – Ale nie zamierzam go łamać. Zamierzam je kochać, jak każdą inną część twojego ciała. – Delikatnie pocałował ją w usta.

– Już wkrótce tego ciała zrobi się znacznie więcej, więc zarezerwuj sobie mnóstwo czasu na te pocałunki – mruknęła prosto w jego usta.

– Czas to nie problem. Mamy na to resztę życia.

Marisa z westchnieniem pozwoliła się wziąć w ramiona, Roman objął ją mocno. Najchętniej nigdy nie wypuściłby jej z ramion.

Nie zdawał sobie sprawy, że powiedział to na głos, dopóki nie usłyszał odpowiedzi Marisy.

– Nawet nie próbuj mnie puścić, Romanie Bardalesie. Już ja tego dopilnuję.

SPIS TREŚCI:

OKŁADKA

KARTA TYTUŁOWA

KARTA REDAKCYJNA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ROZDZIAŁ ÓSMY

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

ROZDZIAŁ JEDENASTY

ROZDZIAŁ DWUNASTY

EPILOG